Nr. 7. Lwów, dnia 1. Lipca 1887. Rok X.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAZDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Stefan Batory jako myśliwiec.

Obrazek rodzajowy na tle wieku

przez

ADOLFA PAWIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Dla zamożniejszej szlachty było łowiectwo nietylko środkiem zaopatrzenia stołu niekiedy w wykwintne potrawy, lub środkiem przysporzenia sobie grosza, ale zarazem rozrywką, zabawą, w której przyjmowały udział kobiety i mężczyźni, starsi i młodsi *). Dla młodych była to szkoła ćwiczenia ciała, popisu zręczności. Ganiono zniewieściałą młodzież, która unikała tej męzkiej zabawy. Jan z Czarnolasu z przekąsem też o takim młodzieńcu się wyraża:

„Nie umie syn szlachecki na koń wsieść i w łowy
Na dziki zwierz z oszczepem jechać nie gotowy“.

Bywały to jednak tylko wyjątki, bo rycerska młodzież sposobiła się zawczasu do takich zabaw, pełnych urozmaicenia, wesołości i krotofili. Przytoczę tu dla przykładu, co opowiada Wodzicki w swem uczonem dziele o „Sokolnictwie“ *), że za czasów Stefana Batorego była moda noszenia u czapek kity z piór czaplich **). Za Henryka Walezego przeszła ta moda do szlachty nietylko płci męzkiej, lecz i do pań jako ozdoba — do ołtarza pannie młodej służyła kitka i była oznaką możniejszej szlachty. Trzeba zaś wiedzieć, że czapla ma tylko dwa piórka na głowie i te nosi jedynie w godowej barwie do miesiąca Lipca, a zatem ozdobna kitka wymaga śmierci ośmdziesięciu do stu czapel i to ubitych na wiosnę. Zadanie nie łatwe. Młodzian w konkurach nie mógł milszego daru ofiarować swej bogdance jak kitkę z czaplich piór, własną pracą myśliwską uzbieranych. Więc oczywiście pobudka nie mała do łowieckiej wprawy.

Myśliwstwo w XVI. wieku u nas jak i gdzieindziej było przeważnie łowiectwem. Broń palna ciężka, niedokładna, mniej doskonała, trzymała polowanie w ciasnych gra-

*) Trzecieski w swej biografii Reja wspomina, jak to spędzał na myśliwstwie swą młodość autor Żywota poczciwego człowieka. Aż do lat 18 Rej się ćwiczył „strzelając bąki“ i przynosił jako łup myśliwski „kaczora albo gołębia, albo wiewiórkę za pasem“, a później nawet jeszcze, kiedy go do stryja posłano niby na naukę, na przetarcie się w świecie, on się jął brogiem wron łowić i t. d. Tur. wyd. 1859, str. 7.

*) Praca ta nadzwyczaj naucząjąca dla tych, którzy pragną poznać szczegóły, odnoszące się do tego działu ornitologii krajowej.

**) Uczony autor nie przytacza wprawdzie źródła, zkąd wziął powyższą wiadomość. Zob. str. 138.

nicach sztuki łowieckiej. Głównie zaś brak śrótu, który dopiero w następnem stuleciu wszedł w użycie, tamował rozwój polowania w dzisiejszem znaczeniu słowa z fuzyą, strzelbą, albo raczej z rusznicą, mówiąc językiem owego czasu.

Była to oczywiście niewygodna rzecz strzelać kulkami do drobnego ptactwa, a dla mniej wprawnego myśliwca bardzo kosztowna. To też Cygański, który tyle zna sposobów łowienia, rzadko kiedy wspomina o rusznicy. Używano jej raczej na grubą zwierzynę, na dzikiego zwierza w czasie wielkiego polowania, które tylko możni panowie urządzać mogli w rozległych kniejach. Bo jak pisze Bielawski swym twardym wierszem:

„I niedźwiedź nieugonny po drzewie do ula
Rychlej spadnie niż tam wlazł, gdy go zajmie kula“. (Obrót VII).

Niekiedy i na żubra i tura szli ze strzelbą, oczywiście nie szlachta, tylko królowie, bo jak wiadomo:

„Tur, wół polski, tego wszystkie ziemne kraje
Nie mają“.

Zwierz to rzadki, starannie chowany w puszczy niepołomskiej, dokąd często wyprawia się na łowy Batory

. . . . Wielkie te zwierzęta
Król polski strzelbą bierze w swe podobne święta'. *)

Szlachta zaś pospolita, która chyba tylko z kijem chodziła na grubą zwierzynę, zamiast z rusznicą**), polowała głównie gończemi na zające, krogulcami z wyżłem na ptaki, a niekiedy chartami ścigała lisa lub wilka, wreszcie trudniła się łowiectwem, używając sieci i różnych przytem forteli.

J Rej także, gdy poczciwemu swemu człowiekowi zajmować się myśliwstwem każe, rzadko o rusznicy wspomina. Latem wychodzi sobie szlachcic do żniwa, kiedy żniwiarze nadobnie żną, dzieweczki spiewają... „idzie sobie z krogulaszkiem i czasem przepióreczkę ugonić może“ ***). A na jesień także użyje niemało krotofil bez rusznicy, kiedy w pole wyruszy. „Wypadnie zajączek, a zaś go rozkosz poczwać, za nim sobie pobiegać, a jeszcze lepsza do łęku go przywiązać ****), do domu przynieść“. Można też, jak w innem pisze miejscu, kuszę żelazną na lisa zastawić, z charty się przejeździć *****).

Myśliwstwo więc, jak z tego widać, stało psami gończemi. Charty były w XVI. wieku dobrze znane, powszechnie używane, ale psy te, mając ograniczone pole, mogły tylko służyć do zabawy zamożniejszej szlachcie. Cygański też jakby mimochodem o nie potrąca, mówiąc naprzykład o bocianie, że tego ptaka rączym chartem ugonić można, luboć, jak wiadomo:

„Rzadko myśliwiec nań jedzie
Nie rad go jada na swoim obiedzie“.

Bielawski więcej opisuje pańskie łowy wyższej szlachty. Więcej też u niego w tej mierze wiadomości. A co do chartów, jakżeż krótką a trafną czyni uwagę:

„Tysiąckroć więcej psi w roku kosztują,
Niźli uszczują“.

Nawet i szczegółów nie żałuje w tym względzie poeta-myśliwiec, dowodząc, jak to kosztowne jest psów utrzymanie, a mało się wraca pożytku z łowieckiego ich łupu.

„Więc dziś dwa korca mąki zjedzą charci“.

A ile z nich pożytku? zapytajmy wraz z tymże autorem każdego myśliwca:

„Wiele cię na dzień psi, frater, kosztują
I wiele zwierzów gębami ujmują“.

Na to odpowiada sam poeta;

„Piętnaście groszy, a nimi zające
Ledwo utrącę“.

I słusznie dalej wywodzi:

„Azaż ten wisa na łąku za nogi
Trzy, cztery grosze, nie barzoć to drogi,
Zając trzy grosze, a za piętnaście psi
Urwie się w rok wsi“ *)

Kto oczywiście ma na to, kogo stać na psiarnię, ten użyje niemało rozkoszy z chartami na jesień, na zimę. Jak tam pan zając ruszy z pod miedzy, a nuże za nim chart

„Ciągnie się ze wszystkich skoków
Skoro się wyciąga z boków.
To nam nie żal ni prace na psa, ni nakładu
Gdy za zwierzem wędruje czujny chart do składu,
Nie próżno śpiewa trąbka,
Nagrodziła się otrąbka“.

Jeszcze więcej uciechy sprawi myśliwcowi wiatronogi chart, kiedy pomknie za sarną, wilkiem lub wieprzem.

„Owo chart niepospolity,
Ni go dojrzeć po zagonie,
Wilka pozna po ogonie.

Ba nie to, ale na pole
Wypadł równo by po stole
Bieży milcząc, ni skowyczy,
Ni dołów, ni gór nie liczy.
Wieprza dotrzymał za ucho
Wypadł nań jakby głucho
A wieprz wrzeszczał, słyszeć było
Patrzały oczy niemiło...“ **)

Biedniejsza więc szlachta zagonowa, albo wreszcie chłopek, musieli poprzestać na mniej kosztownem polowaniu, które zasadzało się głównie na sztuce łowieckiej, na myśliwstwie ptaszem. I tu oczywiście potrzebne były psy, albo wyżły legawe, które też w miarę możności trzymał u siebie ten lub ów myśliwiec. Często o nich wspomina Cygański i przytacza wypadki, w których pomoc ich stawała się nieodbicie potrzebną. Lubo można było wiele ptaków brać ręczną siecią, iść na nie z więcierzem, z broszkiem, z wierszą, z sidełkami, z potrzaskiem, jednak przy użyciu większych sieci, szczególniej rozjednych, potrzebny był legawiec, aby wystawiał czy przepiórki, czy kuropatwy, jarząbki i inne ptaki.

Kto przeto broni palnej nie miał, a udoskonalonej nikt nie posiadał w wieku XVI. — kto nie mógł trzymać wyżła legawego „wietrznego, ciekawego“, a takich były w Polsce tysiące między szlachtą zagonową i chłopami, ten z konieczności uciekać się musiał do innych środków łowienia zwierzyny, ptactwa. Potrzeba skierowała przemysłowość i przemyślność ludzką oddawna do wynalezienia przystępniejszych sposobów, jakiemi były sieci i siatki wszelkiego rodzaju, które ułatwiały łowienie ptaków lub zwierzyny.

---

*) Bielawski. Obrót VII., IX. i in.

**) Biel. Oszczep, sieć, pies, kij, dobry misiowi do rzeczy.

***) Tur. 231.

****) Łęk jest to kula, czyli część wyniosła siodła, którego się trzyma jeździec. *Linde.*

*****) Tamże str. 233. W pismach Reja w ogóle znajdzie wiele rysów ciekawych, charakteryzujących zabawy myśliwskie. Odbieglibyśmy zanadto od przedmiotu, przekroczylibyśmy granice naszego szkicu, gdybyśmy do kreślenia naszego obrazku obyczajowego chcieli spożytkować cały zasób farb, jakie badacz znajdzie w różnych pismach Reja.

*) Powyższe wiersze z obrotu VIII.

**) Obrót ostatni.

Łowiectwo też głównie stało siecią. Sieć miała nadzwyczaj rozległe zastosowanie. Używano jej zarówno do wielkiego polowania, jak i do nakrywania nią małego ptactwa, jarząbków lub przepiórek. Król Batory polował często taką siecią na grubego zwierza, jak powiada Bielawski:

. . . . . „siecią trzeciomilną (na trzy mile dokoła),
Otoczywszy zwierzynę bierał nieomylną,
Tak pomału sieć onę zaraz ukracano,
Zwierza siecią otuliwszy, co król kazał, brano". *)

Na każdy rodzaj ptaków była sieć oddzielna. Niepospolita biegłość Cygańskiego na tem się właśnie zasadza, że wie on, gdzie użyć jakiej sieci, jak ją przygotować, jak ją rozciągnąć i t. d. Jak nam nasz szlachcic mazowiecki zacznie wyliczać i opisywać każdą sieć po szczególe, jej przeznaczenie, sposób urządzenia czyli przygotowania, jak nam zacznie prawić systematycznie to o sieci wielkiej, ręcznej, cietrzewiej, mrzeżej, rozjeznej, stawnej, to o sieci wilczcu, o saku, o podgrubnej, nakrywalnej, to znów o sieci tajniku, czyli pomku, o kutniej, krzowej, podgajnej, to ci się zdaje, czytelniku, że słuchasz jakby wykładu anatomii nerwów mózgowych, taki tam las nieprzejrzany. Dopiero też wtedy nabierasz szacunku dla autora „Myślistwa Ptaszego", który całą tę mądrość sztuki łowieckiej posiadł, odkrył jej tajemnicę i wiedział, jak się to łowi ptaki na Wołyniu, jak na Podolu, jakich forteli używają myśliwcy w Wielkiej, jakich w Małej Polsce, a jakich w Prusiech.

Polowano na ptaki nietylko siecią. Łapano na różne lepy, budowano klatki, mianowicie dla chwytania czyżyków i w ogóle drobnych ptasząt, wreszcie łowiono ptaki za pomocą innych ptaków, a zwłaszcza drapieżnych. Używano w tym celu jastrzębi Miewała zamożniejsza szlachta krogulce, albo, jak Rej powiada, krogulaszki, miewała także i sokoły.

Ale sokoły należały do rzadkich i kosztownych ptaków, tak, iż właściwie chowano je tylko na dworach wielkich panów:

„jako miłe z krogulcem zabawy bywają,
które jedno królowie z panięty miewają".

tak nas objaśnia sam autor „Myśliwstwa Ptaszego", wyraźnie nadmieniając o tem w końcowym wierszu swego dzieła.

Co wspomina Cygański o krogulcu, tem więcej odnosi się do sokołów. Myśliwstwo z sokołami stanowiło zabawę tylko bardzo bogatych magnatów. Była to rozrywka prawdziwie królewska, kosztowna i wspaniała. Dodał jej świetności w Polsce nie kto inny, jeno król-myśliwiec Stefan Batory. Nie będzie więc rzeczą zbyteczną, gdy dłużej zatrzymamy uwagę naszą na przedmiocie tak ważnym w dziejach łowiectwa polskiego.

III.

Sokolnictwo w wiekach średnich. — Świetność jego we Francyi w XVI. wieku. — Upadek sokolnictwa na dworze ostatnich Jagiellonów. — Starania Batorego około podźwignienia myśliwstwa nadwornego. — Wielkie trudności w pierwszych czasach. — Brak sokołów. — Założenie sokolarni. — Cena sokoła unoszonego. — Pensya wysoka dwóch mistrzów sokolników. — Psy legawe. — Sprowadzenie chartów i wyżłów z zagranicy. — Sieci łowieckie.

Życia towarzyskiego na Zachodzie w wiekach średnich, oraz w epoce Odrodzenia nie zrozumie dokładnie, kto się nie obznajomi z sokolnictwem, kto nie zna szczegółów polowania z sokołami, kto się nie dowie, jak je chowano, jak je do łowienia wprawiano. Z rysów cechujących społeczność feodalną pod względem jej życia domowego, jej obyczajów towarzyskich, jej zabaw, najwybitniejszem jest upodobanie w polowaniu z sokołami. Ileż to nawet zwyczajów natury prawnopolitycznej łączyło się ściśle z myśliwskiem zajęciem królów i wielkich panów średniowiecznych, ile przeróżnych obowiązków i służebności feodalnych wiązało się z sokolnictwem. Oddawali się temu łowiectwu ptasząt z namiętnością zarówno książęta świeccy jak i duchowni, królowie na równi ze swemi małżonkami, królewne i księżniczki, tudzież zwykłe damy rycerskie.

Trzymać sokoły, ukazywać się z niemi na każdej uroczystości, należało do wymagań panującej mody, do dobrego tonu wyższego towarzystwa. Doszło w XVI. wieku we Francyi do tego, że każdy rycerz występował z sokołem na ramieniu lub na ręku podczas większych zebrań publicznych lub prywatnych. Biskupi i opaci naśladowali skwapliwie zwyczaje świeckich panów, tak, iż do kościoła niekiedy wchodzili wszyscy z ptakami, które podczas nabożeństwa sadzano na stopniach ołtarza. Prałatom, jako osobom duchownym, służyło prawo pierwszeństwa. Im wolno było wybierać dla swoich sokołów zaszczytniejsze miejsce, jakiem była strona lewa czyli ewangelii, a świeccy panowie sadzali swe ptaki łowne po stronie epistoł, czyli z prawej ręki *).

Na schyłku wieków średnich zajaśniał jako zapalony myśliwiec Ludwik XI. we Francyi, jeśli w ogóle, mówiąc o tym ponurym, groźnym i surowym królu, godzi się jakąkolwiek aureolą otaczać imię jego. Dziwna rzecz, jak ten monarcha wśród ciągłych wojen a niestannych intryg znajdował jeszcze czas swobodny do rozmaitych zabaw myśliwskich. Właściwie zaś, jeśli już mówić wypada o blasku sokolnictwa, to przytoczyć tu należy w pierwszym rzędzie rycerskiego Franciszka I., którego panowanie stanowi istotnie najświetniejszą epokę zabaw myśliwych z sokołami. Nawet damy dworskie musiały z obowiązku uczestniczyć w królewskich łowach, dla podniesienia ich świetności, a w liczbie pań, które mimo trudy i niebezpieczeństwa najchętniej dzieliły z Franciszkiem myśliwskie przyjemności, wymieniają historycy ową sławną później Katarzynę de Medici, naonczas żonę delfina Henryka (II). Sławiono powszechnie jej zręczność w toczeniu koniem, jej wdzięk, jakby drugiej Diany, w myśliwskich zabawach, jej gorący zapał w upędzaniu się za dzikim zwierzem **).

Częste do Włoch wyprawy, ustawiczne z włoskimi książętami stosunki, którzy wprowadzili przepych i zbytek niesłychany do zabaw łowieckich, podniecały w rycerskim Franciszku coraz silniej i tak już wielką namiętność łowiecką. Nazywano go też nawet ojcem myśliwców. Miał on na swym dworze, prócz łowców rozmaitego rodzaju, oddzielną służbę sokolą: naczelnego sokolnika, pięćdziesięciu szlachty myśliwej, 50 sokolników i 300 sokołów. Później prześcignął go jeszcze w namiętności i w wystawnem urządzeniu łowiectwa sokolego Ludwik XIII., ale są to czasy, które sięgają po za obręb naszego opowiadania.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Obrót VII.

*) La fauconnerie ancienne et moderne par l. Chenu et des Murs. Paris 1862, str. 3 i n.

**) Paul Lecroix. Moeurs, usages et costumes au moyen âge et à l'epoque de la Renaissance, 5 edit. Paris 1877. zob. rozdział Chasse, 192 — 234.

*

Urywek z niewydanego poematu:

„ŚWIĘTY HUBERT"

napisał

L. hr. Starzeński.

Jeśli ludzie orzekli niebacznie to zdanie,
Że li tylko igraszką u nas polowanie,
Śmiało temu zaprzeczę, bo wiem z doświadczenia:
Ono czasem jest u nas warunkiem istnienia.
Szlachcic gdy niemyśliwy, więc na wsi się nudzi,
Gdzieś wyjechać do miasta, wnet chętka się budzi,
Karnawału trza użyć. Na to grosza starczy,
Moszko za propinacyą coś drobnych dostarczy;
A że żyjąc bez ruchu, wątroba szwankuje,
Na to Karlsbad natychmiast lekarz ordynuje.
I tak między Karlsbadem a Lwowem się kryje,
Wioskę swoją opuszcza — jak koczownik żyje.
A śród tej koczowniczej wyprawy się zdarza,
Że plon z wioski przechodzi w kieszeń arendarza,
Albo i ekonoma. Lecz to rzadziej bywa,
Bo ekonom powrotu państwa się spodziewa
I tylko drobne czasem korzyści gdzieś ściąga.
Żyd zwykle zabrał wszystko i zyski wyciąga.
Wierzę w to: gdyby szlachcic taki był myśliwym,
Czułby się w swoich borach nad wszystko szczęśliwym.
Śledziłby tropy dzika, co mu przeszedł knieje,
Potem żywiłby przyszłe łowieckie nadzieje.
Trop rogacza, szaraka ciekawośćby budził.
Pewnoby się w swej wiosce przez zimę nie nudził.
A z wiosną, choć ustawa tak trapi zażarcie,
Na pierwszym ciągu słonek jużby stał na warcie.
Siedząc wciąż na swej grzędzie, czułby się mocarzem,
Czuwał nad ekonomem i nad arendarzem.
W ruchu — chorób wątroby nie byłoby śladu,
A na wiosnę by nie trza jechać do Karlsbadu.
I ten grosz by mógł nasze użyźniać zagony —
Grosz, co chętnie gdzieś w cudze my siejemy strony.
Tę słabość naszą dobrze zna kanclerz w Berlinie,
On podpatrzył szlachcica w apatyi godzinie,
Wydzierając mu mienie (bo prawem jest siła),
Jego do Monte Carlo z ironią wysyła.
Lecz w Poznańskiem to sprawa nie taka otwarta,
Bo tam stoi żelazna narodowa warta.
Kanclerz, chociaż żelazny, próżno sobie tuszy:
O żelazo żelazny tam swój pancerz skruszy.
Ale u nas inaczej. Pomnij tylko bracie,
Taki kanclerz żelazny jest u nas w chałacie.
Co tamten ustawami bierze śród przestrzeni,
Ten ci już jakoś cicho wydobył z kieszeni.
I sam nie wiesz miotany śród gniewu i złości,
Kiedy on się nieznacznie stał panem twej włości.
A więc bracie pamiętaj na ten zastęp wraży!
Czujnie stój, niezachwianie na ziemi twej straży!
Pomnij, że nikt nie zwalczy siłami żadnemi
Szlachcica, pokąd ziemi dotknie stopy swemi.
Więc twej stopy z tej ziemi nie podnoś mój bracie,
A nikt wtedy już na nią nie stąpi w chałacie.
A gdy ci nudno będzie śród zawodu tego,
Wezwij w pomoc patrona, Huberta świętego.
On ci chwile ubarwi, pogodzi cię z życiem
I niejednem obdarzy bogatem odkryciem.
On ci powie: że szlachcic na swych ojców grzędzie,
Skoro tylko rolnikiem i myśliwym będzie,
Gdy nie będzie opuszczać swojej ojcowizny,
Jest najpierwszą na teraz podporą Ojczyzny.
Święty Hubert to sprawi!... Może to myśl płocha,
Że nasz szlachcic swój zagon i ziemię pokocha.
A wtedy ziemi przodków ci nie wydrze bracie:
Ani kanclerz w pancerzu, ani żyd w chałacie!

Podkamień 8. Marca 1887.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ustęp z dziejów szczęśliwego żonkosia.

Nie lubiłem pikników, ni balów,
Drobnych plotek, ni wielkich skandalów,
Nie grywałem w taroka ni maczka,
Ani w bilard, ni w licho i centno,
Nie nęciła mnie żadna śpiewaczka,
Ale miałem namiętność szlachetną:
Las w ponowie — to marzeń mych kres,
Dobra strzelba i Bekas, mój pies.

Tożem w kniei i w polu, na błocie
Dawał folgę myśliwskiej ochocie.
A choć anglez mój diabła był warty,
Choć frak lata wspominał minione,
Choć oberrok był mocno wytarty,
A klak smętnie na jedną zwisł stronę,
Futer miałem myśliwskich coś dwa
I trzy strzelby wyborne — że ha!

Zawszem mawiał, że ludzie źli bardzo,
Kto zanadto ich szuka, tym gardzą,
Że kobiety — to istny puch marny,
Ich natura — kapryśny lot kszyka,
Że ich wdzięki przewyższa wdzięk sarny,
Ich nienawiść — to gorsza kłów dzika,
I twierdziłem to ciągle — nie raz,
Że najmilszym salonem mi — las.

Nawet sławny Fikalski z pewnością,
Gdy z swą drogą walcował jejmością,
Nie promieniał tak wielką ochotą,
Jak ja — kiedy wchodziłem na błoto
I mniej panna się cieszy bukietem,
Niż ja jednym do kszyków dubletem,
A już dla mnie największy był szyk,
Gdy rulował od kuli mej dzik.

Raz gdym jechał na słonki, leśniczy,
Mój znajomy, z werandy coś krzyczy.
Furman stanął, jam skłonił się, patrzę,
Na werandzie jak w loży w teatrze,
Cztery główki kobiece — rzecz ślizka —
Jedna dwojgiem ócz czarnych tak błyska,
Że pospiesznie krzyknąłem: *„Adieu!"*
No i słonki chybiłem — coś dwie.

Wściekłym wracał dość późnym wieczorem,
W leśniczówce są wrota otworem,
Myślę: zemścić się trzeba na babie!
Rzekłem: „Jacek do dworku jedź drabie!"
Zajechałem. Gdym wrócił do miasta,
Na zegarach wybiła dwunasta,
A mój Bekas największy miał zysk,
Na dobranoc trzy razy wziął w pysk.

Oj! wahałem się niby anatom,
Co sto razy odważa swój atom,
Nim wypowie nakoniec twierdzenie,
Lecz gdy ciągle mi w uszy kładziono:
„Żeń się, żeń, obaczysz jak z żoną!“
Pomyślałem: ha! to się ożenię!

Miałem pensyę, pewne stanowisko,
Lat trzydzieści i niezłe nazwisko,
No i z twarzy nie byłem tak brzydki,
Mogłem zatem, gdy chciały tak nieba,
Powszedniego dość mając już chleba,
Jakiejś sobie poszukać kobietki.

Nowy anglez, garnitur powabny
I *chapeau-claque* sprawiłem jedwabny,
A na wszystko trza było gotówki...
Długi robić? Fe! Za nic na świecie,
Więc palnąłem inserat w gazecie:
„Do sprzedania są dwie Lankastrówki!“

Mniej potrzebne mi były, wszak naraz
Dwie brać strzelby — za wielki ambaras,
Zresztą trudno polować zbyt wiele,
Ona chciała na spacer iść razem,
Nie chcieć? Trzebaby chyba być głazem!
A ten spacer przypadał w niedzielę.

———

Bekas gnuśniał wciąż w domu. Raz chciałem
Iść na błoto — ach! tak ją błagałem!
Ona rzekła: „Dostaniesz pan dreszcze,
Nogi zmoczyć, przeziębić się można,
O! myśliwska namiętność bezbożna!“
A jam w rączki całował ją jeszcze.

„To do kniei?“ — „A Bój się pan Boga!
Chyba nie wiesz pan, co to jest trwoga,
Nużby jaki dzik wypadł ogromny!
Za nic w świecie nie puszczę, mam prawo!“
I patrzyła tak rzewnie, tak łzawo,
Że zostałem jak żak taki skromny.

* * *

Rok minął. Wybrałem się wreszcie,
Ja siedzący jak złodziej w areszcie,
Na wiosenny, uroczy ciąg słonek...
Ale to już ostatni raz było...
Bo spudłować pięć słonek — nie miło!
A mnie w strzałach zawadzał — pierścionek!

Lwów w Marcu 1887.

Leon Gustaw Dziubiński.

Kilka słów o myśliwstwie dawnem i teraźniejszem.

Przez

Alexandra Ubysza.

(Dokończenie).

Drugi sposób wabienia ptaków jest na „szpar, podlot, „podrywek“. Do kija około ćwierć łokcia długiego, pół cala grubego u jednego końca przywiązuje się ptaszynę nicią za obie łapki, drugi zaś koniec kijka opatrzony „poprzeczką“, t. j. tej samej grubości, około dwóch cali długim kijkiem w poprzek umocowanym. Te dwa końce poprzeczki przytwierdza się „sforkami“ lub „kulkami“ do ziemi tak, że ów narząd (szpar) rusza się jak na zawiasach. Od narządu aż do „czatowiska“, gdzie się ukrywa człowiek, wije się cienki sznurek, uwiązany u szparu. Pociągnięcie sznurka podrywa w górę przyrząd wraz z uwiązanym do niego ptaszkiem, który trzepiąc skrzydełkami wabi i ośmiela chmarę ku zdradliwej przynęcie. Oba te sposoby ściągają ptactwo z bliska; dalsze nęcą „wabce“, umieszczone w klatkach na drzewach, lub na wolnem miejscu. Najlepszemi sieciami są holenderskie, dzielące się na całe i połowy, czyli poły. Całych sieci używa się do pokrycia zarośli, gdy je ptactwo gęsto obsiadło na chwilowy spoczynek lub nocleg. Tego rodzaju łowy wymagały głębszej znajomości ptaszej natury, ptasznik musiał być pewnym, że na tych lub owych zaroślach ptactwo niezawodnie obsiędzie. W miarę gatunku ptactwa używano różnych wabców, zwłaszcza, gdy ptasznik na „podciemne“ wybierał się łowy. Skoro ptactwo zapadło w zarośle, z dwóch stron sieciami obstawione, dwie poły za pociągnieniem sznura zwierały się z sobą i pokrywały całą chmarę. Sposób ten, zwany „podciemnem“, wybornym był do chwytania ptaków wszelkiego gatunku. Całych sieci używano na dzienne łowy, chwytając szpaki, drozdy, kwiczoły, paszkoty, jemiołuchy, gdy w czasie jesiennej wędrówki do cieplic lub wiosennego powrotu z nich, dniem chmarami pojawiały się w miejscach, gdzie nigdy stale nie przebywają. Lud nasz, z wyjątkiem górali tatrzańskich, nie lubi tego rodzaju łowów, bo drobna zwierzyna nie ma pokupu. Milsze mu rybołowstwo i kłusownictwo, a z szczególną pasyą polują na zwierzynę, której futro chętnych znajduje nabywców. Górale tatrzańscy od pradawnych czasów zajmowali się ptasznictwem z wielkim sprytem i znajomością rzeczy, łowiąc jedynie kwiczoły, paszkoty i jemiołuchy. Takie łowy wcale nie są łatwe. Sieci, samotrzasków nie używają, bo drogie i w górach niepraktyczne. Kwiczoł, drozd, paszkot i jemiołucha dadzą się zakryć siecią tylko w czasie jesiennej lub wiosennej wędrówki, znużone i głodne latają chmarami, bez namysłu obsiadują nastawione przynęty, gałązki kaliny, jarzębiny, berberesu, których na ten cel skrzętny ptasznik spory zapas przechowuje. W górach ma ptak żeru dosyć, jest więc ostrożny, niemałego przeto trzeba sprytu, aby połów był skutecznym. Włosień koński w czworo spleciony z kulką czyli kluczką — oto cały ptaszniczy przyrząd górala. Umie on też zmusić ptactwo do obsiadania drzew lub krzaków, gdzie umieszczono liczne prątki pomazane lepem, z którego, gdy nań usiądzie, już się ptak oswobodzić nie może. Ku temu celowi używają górale straszaków, czyli płochaczy. Pełno ich tam po drzewach i jałowcach cudackiej formy, najczęściej czarnej barwy. Ptactwo omija to miejsce, a siada w miejscach, gdzie lepowe prątki lub gronka barwnej i smakowitej przynęty, którą chcąc się pożywić, na sidle uwisa. Lud na dolinach od wieków nie oddawał się ptasznictwu, zajmowała się niem drobna szlachta, mnichy po klasztorach, księża na parafiach i mieszczanie, najwięcej garncarze i murarze. W jesieni i zimie, gdy nie mieli roboty, łowili ptactwo i żywili się niem wraz z rodziną. Z siecią, z kilkoma garstkami konopi, z dużą klatką na żywy, a koszem na „gnieciony“ towar, czyli ubite ptaki, którym po złowieniu gnietli główki, z kilkoma małemi drewnianemi klateczkami na wabce i innemi przyborami, wyruszał ptasznik na łowy. Wyłącznie tylko samce: szczygły zwane szóstaki, mające w ogonie sześć piór w połowie żółtych, niezawodne znamiona znakomitych spiewaków; dzwońce jasno zielone, z „wylotami“ jasno żółtymi na pierwszej lotce u skrzydła; czyże żółte, zwane „olchowcami“, i tym podobne inne starsze samcy szły do dużej klatki jako żywy towar, chętnie nabywany przez mieszkańców miast, dla uprzyjemnienia spiewem nudów miejskich, a często i niedoli. Młodsze, wątlejsze bywały gniecione, prócz szczygłów, których znaczną część,

szczególnie tegorocznych, zwanych „parchutkami“, żywo przechowywano, albowiem nie miały jeszcze na główkach czerwonego kapturka, czyli „mycki“, podobnej nieco do parchów. Z parchutków najlepsze bywały spiewaki. Nieżywy towar nieoskubany sprzedawano na kopy. „Rożenki“, t. j. 6 sztuk oskubanych i za główki na dwa patyki ujętych ptaszków, sprzedawano drożej. Paszkoty, kwiczoły, drozdy, jemioły gniecione sprzedawano na trójki, t. j. nieskubane po 3 sztuki „na lik“. Kosy, szpaki, a nawet dzierlatki, czyli pośmieciuszki, tylko z gniazda wyjęte, mogły być spiewakami w niewoli, gdy już z gniazda wyleciały, nieoswajają się łatwo, giną rychło w klatce i nie spiewają. Drozd, kos, szpak, dzierlatka po kilka nawet aryi z pozytywki spiewać się nauczą, a gdy szpakowi język u wiązadełka nieco poderznięto, potrafił naśladować ludzką mowę. Takiego nieraz wysoko płacono. Inne skrzydlate spiewaki były też cenione. „Dzik“, ptak świeżo złowiony, znacznie mniejszej bywał ceny, jak „klatkowy“ czyli „zimowany“, którego dłuższe życie już było zapewnione i w Kwietniu poczynał spiewać. Odznaką do rozróżnienia dzika od klatkowego były nóżki czarne u dzika, jasne u zimowanego, a tem jaśniejsze, im dłużej przebywał w niewoli.

Najciekawszym w ptasznictwie jest połów sikorek w wielkiej liczbie. Ptaszki te, jakkolwiek nie płoche i jak gile łatwo idące do samołówek, nie łatwo dają się łowić w większej ilości, latają bowiem nie chmarami, lecz pojedynczo. W dwóch tylko porach trzymają się w stadach: w jesieni, gdy z pól i lasów ciągną na równiny, w pobliże mieszkań ludzkich, gdzie cieplej i o żer łatwiej i na wiosnę, kiedy gromadami wracają w rodzinne strony. W Galicyi największe niegdyś odbywały się w tych porach łowy w okolicy Żółkwi. Z końcem Września poczynał się ciąg sikorek, w miarę ich obfitości wróżono twardą lub łagodną zimę. Ciąg trwał zaledwie dni kilka. Pojawiało się ich tysiące, mianowicie popki zielone, duże, zwane kowalikami. Najmniejsze błękitne żydóweczki osobnemi stadami jawiły się niespodziewanie, obsiadając podnóże góry podżółkiewskiej Haraju, zresztą wszędzie ich było wiele po sadach i ogrodach. W tej porze wyruszają mieszkańcy miasta Żółkwi, podobnie jak Neapolitańczycy, na łatwy połów ciągnącycych ku cieplicom przepiórek, mocno znużonych, łatwych do schwytania. Z strzelbą, z siecią, z mało gdzieindziej znanemi klubami idą na Haraj lub na błonia, przylegające do lasów Błyszczowodzkich, gdzie sikorki normalnie mają stacyę wypoczynku. Kluby jest to drążek $^{1}/_{2}$ cala gruby, trzy metry długi, sosnowy, z wyżłobionym przez całą długość rowkiem, w który wchodzi drut w górnej części drążka przytwierdzony. Drut ten może być w rowek zanurzonym lub „folgowanym“, czyli wiszącym. Ptasznik zasiada w budce, wystawiając z okienka drążek czyli kluby. W celu zwabienia sikorek, a raczej zwrócenia uwagi ich na ten przedmiot, umieszcza się w końcu drążka kawałek czerwonego sukna, całe zaś kluby obsypuje siemieniem konopnym. Dla utrzymania ziarnek na wąskich klubach sypie się je na łoju, wosku lub smole. Ciekawe z natury sikorki widząc obcy przedmiot, a na nim płatek czerwony, siadają gęsto na klubie, wtedy ptasznik stula drut, chwytając za łapki ptaszęta, wciąga cały przyrząd do budy, dusi ułowione sikorki i znowu wystawia klubę.

Dziś ptasznictwo upadło; wyjednano u Rządu Ustawę wzbraniającą wszelki połów ptaków pożytecznych i spiewających, a jednak dawniej nie było Ustawy ochronnej, a ptaków o wiele większą mieliśmy liczbę. Nie umiejętne wyławianie ptactwa wytępiło spiewaków u nas, lecz nieprawidłowe gospodarstwo lasowe. W okolicach bogatych jeszcze w lasy wywodzi się dotąd ptaków mnóstwo, czyniąc znaczne szkody w ziemiopłodach. W tej mierze trzymajmy się praw przyrody, umie ona utrzymać równowagę, nie znosi nadmiaru, który przeznacza na zagładę. Łuszczaki w ogóle nie przyczyniają się tak wielce do tępienia owadów w polu i w lesie, jak niektórzy ornitologowie twierdzą, wyławiają je jedynie w porze karmienia piskląt, gdy one z gniazda wylecą, kończy się ich użyteczność w tym względzie. Wróbel słynie jako pogromca wszelkich owadów, niszczy on ich wiele, ale nie tyka gąsienicy włochatej, przez lud włosiennicą zwanej. Nieraz spostrzegłem wstręt wróbli, jak w ogóle wszystkich łuszczaków do tego owadu. Głównym wrogiem tych włosienic są kukułki i sikorki, umieją one cieniutkim swym dzióbkiem wydobywać je z zagłębień kory, ztąd należy się im opieka i ochrona.

W dawnych czasach utrzymywali królowie i możni panowie obok łowczych i licznego zastępu myśliwych i sokolników, także ptaszników, których obowiązkiem było dostarczać drobnéj zwierzyny skrzydlatéj na stół pański. Oprócz bekasów, dubeltów, słonek, przepiórek, chruścieli, dikich gęsi i kaczek nie gardzono też drobnymi ptaszkami. Łowili je więc sieciami i samołówkami, układali na ten cel jastrzębie. Jastrzębie nie dawały się tak oswoić jak sokoły, iżby je wolno można było puszczać na zwierzynę, trzymano je więc na cienkiej, lecz mocnej, najczęściej jedwabnej linewce (smyczy). Zadaniem jastrzębia było nie chwytanie lecz straszenie zwierzyny, która widząc go w powietrzu nad sobą, tuliła się do ziemi i dawała z łatwością pokrywać rozjazdem. Najbardziej używano jastrzębi na przepiórki i kuropatwy, rzadziej na błotną zwierzynę, którą łowiono za pomocą sideł włosiennych, gęsto powiązanych do sznurów, snowanych wedle potrzeby, przytem robiono dróżki, przesmyki i innych używano fortelów, w celu zmuszenia błotnego ptactwa do wejścia w nastawione sidła. Jastrzębie zastępowały niejako wyżłów, mniej w dawnej Polsce rozpowszechnionych.

Dawni Tatarzy krymscy i niektóre pokolenia Czerkiesów, zamieszkujące równiny Kaukazu, używali do łowów na większą zwierzynę, jak suhaki, sarny i zające, którym sokoł nawet „najbitniejszy“ nie podołał, birkuta, orła stepowego mniejszych rozmiarów. Ptak ten silny i zapalczywy zabija ofiarę swoją, siadając mu na grzbiet, zatapiając szpony, a silnym, zakrzywionym dzióbem szarpiąc ciało, bijąc przytem silnemi lotkami. Birkut atakuje pomykającego zwierza z przodu, godząc w oczy, w które, gdy uderzył, już dokonał zwycięstwa. Oślepiony i przerażony zwierz silnemi uderzeniami skrzydeł, pada, a prześladowca szarpie jego ciało. Tym sposobem ubija większą zwierzynę, zająca odmiennie. Skoro spostrzeże go w kotlinie, spada nań jak błyskawica, zatapiając ostre swe i długie szpony. Jeżeli zając silniejszy jeszcze pomknie, birkut jedną nogą trzyma zająca, drugą chwyta się ziemi, kamieni lub pnia, i tak hamuje pęd. Dawni myśliwi opisują, iż zdarzało im się widzieć nawet jastrzębie wielkich rozmiarów, na pół przedarte w skutek takiej jazdy na grzbiecie zająca. Ludy wyznające Islam, używają do tej pory do łowów unoszonych sokołów i ułożonych jastrzębi, religia ich bowiem dozwala im spożywać zwierzyta tylko rzezane nożem, z tego powodu przechował się u nich ten zwyczaj polowania, wy-

gasły już w całej Europie. Antoni Jeziorański opowiadał mi, że przebywając przez dłuższy czas w państwie Ottomańskiem, kilka razy brał udział w łowach z sokołami. Pewien basza prócz kilku smyczy wybornych, które brały zające nie dusząc, lecz zatrzymując przedniemi łapami, posiadał 6 sokołów. Jeden z nich ulubieniec, nazwany Pipi, jeździł z swoim panem na kuli siodła, na prześlicznym jak śnieg białym koniu, tak oswojony z sokołem, że gdy on siadł mu na głowie między uszami, to tylko radość swą z tego objawiał. Łowy te, zapewniał Jeziorański, są wspaniałe i na zawsze pozostaną w pamięci. Wiadomo mi zkądinąd, że łowy z sokołami dotychczas są u Turków, Persów i Czerkiesów w zwyczaju.

Użycie broni palnej w łowiectwie wyrugowało niegdyś w Polsce bardzo cenione ptasznictwo. Klasztory tylko, stan mieszczański i kmiecy do niedawna je konserwowały. Dziś jedynie górale Beskidowi zajmują się niem z upodobaniem.

Dodamy słów kilka o łowiectwie nowoczesnem. Straciło ono zupełnie cechę dawniejszą. Pradziadowie nasi w chwilach wolnych od usług dla Rzeczypospolitej, krzepili ducha i ciało iście rycerskimi zapasami łowieckimi, już to dla zaopatrzenia stołów swoich w zwierzynę, już też dla obdarowania nią miłych sąsiadów, lub magnackich dworów. Łowiectwo dzisiejsze nie ma już owego rycerskiego uroku; poczynamy już w niem szukać materyalnych korzyści, szukamy więc sposobów, jakimi najłatwiej stosy zwierzyny nagromadzić można, więc polujemy z obławą. Nie wypłasza ona zwierzyny, konserwuje ją nawet w kniejach, ale nie przemawia tyle do duszy, ile dawne łowy z ogarami. Martwe to łowy — istna zasadzka rozbójnicza, bez muzyki łowieckiej, grania ogarów, odgłosu trąbki myśliwskiej, echem niesionego w dalekie ostępy, nawoływań dojeżdżaczów, radośnych głosów tryumfu. Na wzór pedantycznej normy niemieckiej wszystko przewidziane, uregulowane. Brałem nieraz udział w polowaniach czeskich i niemieckich — to istna rzeź, a owocem jej hekatomby zwierzyny, idącej na targi, przynoszącej znaczny dochód. Dobre to, ale nie jest łowiectwem w dawnem znaczeniu, lecz gospodarstwem łowieckiem, systematycznie prowadzonem. My wszakże w głębokich górach i bezdennych lasach polujemy po staremu, gra ogarów w kniei najmilszą dla nas muzyką, a krwawe nieraz zapasy z potężnym zwierzem napawa duszę uczuciem tryumfu po odniesionem zwycięstwie. Żadna obława w górach dzika, jelenia lub niedźwiedzia na myśliwego nie napędzi, bo tymi szlakami, jakimi chodzą, żaden człowiek się nie przedrze. Dobrą jest obława na równinach, szczególnie na wilki, byle nagonka gęsto i równo szła, wycierała dobrze gąszcze, to już żaden wilk się nie wykradnie, ani też przywaruje. Obławy są kosztowne, niejedna już fortuna poszła jako ich ofiara. Dzisiejsze zbiorowe polowania stokroć więcej wypłaszają grosza z kalety, jak łowy ojców naszych, a gdzież to nam się z nimi mierzyć co do dobrobytu! Dawniej skromnie posilano się w kniei: naprzód wychylano spory kielich wódki, następnie szybko spożywano kocioł bigosu, odgrzanego przy roznieconem ognisku, dla konkokcyi żołądka powtórzono dozę *aque vitae* i co rychlej spieszono do miotu. Szary zmrok i odgłos trąbki ściągał myśliwych ze stanowisk i dążono w gościnne progi gospodarza, gdzie niemniej skromne, lecz dostatne czekało przyjęcie.

Stosunki, czy jak to mówią duch czasu, wywołały zmianę w obyczajach i zwyczajach, na łowiectwo wszakże nie wiele wpłynęły. Wydoskonalenie broni palnej musiało uczynić zmianę w technicznym względzie łowów. Znikła walka z drapieżnym zwierzem z maczugą, oszczepem lub mieczem. Dziś z dalekonośną bronią potykanie się z nim nie wymaga wiele odwagi, można być dobrym strzelcem, a lichym myśliwym. Los oznacza myśliwemu stanowisko, na ktorem stoi jak machina strzelająca. Choćbyś najdokładniej znał obyczaje gonionej zwierzyny, jak zwykła przechodzić, wymykać się lub przekradać, na nic to się nie zda, jesteś automatem, którego zadaniem strzelać, gdy szczęśliwym trafem zwierzyna wyjdzie na ciebie, lub stać śród drzemki, której ci zwierzyna żadna nie przerwie. Takie polowanie wyrobi dobrego strzelca — nigdy dzielnego myśliwego. Jakżeż inaczej dzieje się na łowach z psami, tu trzeba znajomości rzeczy i przenikliwości, doświadczenie wskazuje, jak i którędy zwierz chodzi, jakich fortelów wobec prześladowców swoich używa. W miarę postępowania osięgasz rezultat. Najlepszym myśliwym bywa kłusownik, wyprawia się na łowy sam z swym kundlem, który wybornie tropi i czasem bąknie. Kłusownik odgaduje kierunek gonu, zna przesmyki, więc staje na pewne, czeka, choćby godzin kilka i nigdy prawie zawodu nie doznaje. Mamże wspominać o kłusowniczych samołówkach i zasadzkach, zawsze z powodu wybornego zarządzenia prowadzących do celu. Kłusownik zna wszystkie rykowiska jeleni, gawry niedźwiedzia, ostoje sarn, nory borsucze i lisie, obyczaje i naturę zwierząt. Teorya tej wiedzy nie da, tylko doświadczenie i badania, Zasługą jest nauki, że rozświeciła tajemnice, obaliła zabobony i przesądy, ale tylko praktyczni myśliwi dotarli do istotnej prawdy, jeżeli trzeźwo i badawczo umieli czytać w księdze przyrody.

Ciekawym jest błędny i przesądny pogląd na naturę u ludu. Wedle jego mniemania każde zwierzę gada swoim językiem, wszystkie się z sobą porozumiewają, sprawy swe sądzą, wymierzają kary, jak n. p. owe sądy bocianów, wężów. Gdy wąż, który przekroczy prawo, sąd feruje wyrok: szob tebe maty zemla ne pryjmała, hyń, propadaj! wtedy skazaniec pokornie przyjmuje wyrok, układa się na ścieżce, deptanej przez ludzi lub drapieżne zwierzęta i giną pod ich stopami, lub w paszczy borsuka albo lisa, lub na gościńcu rozmiażdżają je koła. I wróble odbywają sądy, zwykle na kraju lasu obsiadłszy drzewa czy krzaki, świegocą na prześcigi w gwarnej dyskusyi. W święto Pokrowy: „koły zyma lito pokrywaje“ (13. Października), ciągną wróble aż pod same czeluście piekieł „do miry“, wtedy diabeł mierzy je półmackiem (półkorcem), zestrychowane lecą w świat na rozpłodek, reszta staje się własnością piekieł. Do każdego zwierzęcia przywiązana jest jakaś baśń, lub legenda, świadcząca o bujnej wyobraźni ludowej. Z tego to czystego zdroju poezyi czerpali najsłynniejsi bajkopisarze natchnienie do nauk moralnych. Nie uczeni, lecz prostaczkowie nadawali nazwy zwierzętom nader trafne. Celują w tym względzie polscy górale tatrzańscy i beskidowi, szczególnie Huculi. Znają oni dokładnie naturę i strop niebieski dla nich nie obcy, mają bowiem swoich „płanetników“, którzy z wskazówek z firmamentu wziętych umieją wróżyć zmiany powietrza, srogość lub łagodność zimy, suche czy wilgotne lata i do tych wróżb stosują swe gospodarskie sprawy. Gazdowie górscy jak w ewangelię wierzą w owe proroctwa, jakoż rzadko one zawodzą. Znają też roślinność, szczególnie kobiety-lekarki. Lud zwie je czarownicami, którem mianem się chlubią. Znachory bywają

często zręcznymi oszustami, ale też leczą istotnie ziołami, używając przytem czarodziejskich zamawiań, a to głównie z powodu działania na imaginacyę i wiarę religijnego i zabobonnego ludu.

Śród ludu polskiego słyną w łowiectwie Kurpie, Huculi i górale tatrzańscy, szczególnie w głębokich osiadli turniach. Na równinach i w stronach bezleśnych lud wyłącznie oddany rolnictwu. Jeśli się gdzie znajdzie myśliwy, to głównie dla korzyści, nie z łowieckiej namiętności, i ci to są kłusownikami. Pragnąc poznać zwyczaje i sposoby łowieckie górali Beskidowych, Sanockich, Samborskich i Stryjskich, zapuszczałem się w jądro tych puszcz leśnych i wyznam otwarcie, żem nic nowego, ani oryginalnego nie dostrzegł. Odsyłano mnie tam do „myśliwców", ale oni na wywiadywanie się moje o przypowieście, pieśnie i zwyczaje myśliwskie odpowiadali: „Nit panciu, lem to u nas tak, w želiza, stupeciu i majemo szczo Hospod dast, taj szkiry kupujut żydy. Łeboj ołenia, sernu kupyt jakij pan w misti, to z tem bohato zachodu, najlipsza szkira, kożdyj żyd jeju kupyt". Pytałem czy łowią kwiczoły, paszkoty, jemiołuchy, jarząbki? — „Nit panciu — brzmiała odpowiedź — jak chwatały tuju połowu, szczo oriabku (jarząbka), to na syłki w kabłuczok". Sposób to łowienia taki: W rzadkiej buczynie lub laszczynie, na polankach lub ścieżynkach, wydeptanych przez owce i bydło, wtyka góral w ziemię kabłączki laskowe lub z cienkiej buczyny, w środku jego uwiązuje sidełko, z czterech lub pięciu końskich włosieni splecione, na kulkę zadzierzgnięte. Na przynętę zawiesza gronko kaliny lub jarzębiny. Jarząbek spostrzegłszy przysmaczek, spuszcza się na ziemię i bieży „drobi" z wyciągniętą szyją ku niemu, kluczka się zadzierzga i ptak uchwycony. Sposób ten łowienia jarząbków wskazał mi kłusownik Iwan Kiczur, w głębokich samborskich jarach we wsi Isajach. Pouczał mnie, że „oriabky doświta i pered weczerom jak nawidženyi pantrujut (szukają) za żerłom", więc aby nie płoszyć zwierzyny, najlepiej w południe obchodzić kabłączki, w celu zebrania złowionych jarząbków, jako też kwiczołów, paszkotów, kosów, jemiołuchów, bo i te idą na przynętę. Czasem tylko w toku rozmowy wymknął się opowiadającemu góralowi jakiś wyraz, który chwytałem skwapliwiej, jak „oriabek" kalinę lub jarzębinę. U ludu ruskiego, prócz Hucułów, prawie żadnych nie znalazłem łowieckich wspomnień i przypowieści. Nie ma tu poetycznej strony myśliwstwa — dla zysku zastawia kłusownik różnego rodzaju samołówki, ryby dostawia żydom na szabas. Chłop ruski zwierzyny nie jada, rybę czasem tylko i to drobiazg, którego żyd nie kupi. Po tradycyjne gadki, przysłowia i przypowieści myśliwskie wejdź chyba w progi dworków zagonowej szlachty, tam je też znalazłem.

W EUROPIE.

Przez

A. de la Rue.

(La chasse illustrée tł. J. Ł.)

Zamierzam w lekkich zarysach dać obraz myśliwstwa u naszych sąsiadów i w ogóle w całej Europie. Lubo to jest modą w pewnych warstwach społecznych u nas, od czasu fatalnej kampanii z roku 1870, uważać tych za niepatryotów, którzy się ośmielają chwalić to, co znajdują dobrego u innych, nie waham się twierdzić wbrew temu mniemaniu, że wskazywanie pewnego dokonanego postępu, nam nieznanego a bliskiego, jest przeciwnie przysługą dla naszego kraju. Polityka nie wchodzi tu w rachunek, idzie nam tylko o myśliwstwo, o zwierzynę — pole to rozległe, może zbyt rozległe.

Belgija. W roku 1883 wydano w tym kraju, którego ludność wynosi cyfrę 5 milionów mieszkańców, 11.241 pozwoleń polowania, w Prusiech zaś 163.769. Z prostego rachunku wynika, że w Belgii przypadają 2 zezwolenia na 1.000 mieszkańców, a w Niemczech 6. Usposobienie łowieckie trzykrotnie bardziej rozpowszechnione w Prusiech, jak w Belgii. Tem więcej jest to zadziwiające, że jak wiadomo, kraj ten należy do najbogatszych w Europie, i że dotąd ustalone było mniemanie, iż namiętność myśliwska jest w prostym stosunku do dobrobytu ludności. Według nowych jednak badań i nowego obliczenia zdaje się, że mniej bogactwo mieszkańców, ile raczj łatwość oddawania się rozkoszom łowieckim, przyczynia się do pomnożenia liczby zwolenników myśliwstwa. To wszakże jest pewne, że Belgijczycy mają bardzo piękne polowania i że wiele zwierzyny wysyłają za granicę. Ostatecznie nie należy, w tej mnogości zwierzyny, w konserwowaniu jej widzieć co innego, jak tylko naturalne następstwa rozumnego prawodawstwa, energicznie strzeżonego, prawodawstwa, którego my domagamy się napróżno, a którem nasi prawodawcy wcale nie chcą się zająć. A jednak państwo sprzedaje co roku 350.000 pozwoleń myśliwym francuskim, które mu przynoszą 5,250.000 franków i gminom 3,500.000. Dlaczegoż więc deputowani większości, prawiący nieustannie o ekonomii i reformach pożytecznych, nie przejmą się przekonaniem, że ów dochód względnie wysoki, zmniejszy się w miarę, o ile zwierzyna, dziś już rzadka, nie będzie należycie ochronioną przez odpowiednie prawo?

Anglija. Myśliwstwo w Anglii jest przywilejem najbogatszych; ażeby polować w tym kraju arystokratycznym, trzeba koniecznie mieć wielką posiadłość. Właściciel mniejszych obszarów wiedzie życie koczujące, polując na kontynencie potrosze wszędzie, tylko nie u siebie, a to ze względów ekonomicznych, żyjąc wszędzie dostatniej i weselej, jak w swej zamglonej rodzinnej siedzibie. Słyszałem nieraz skargi, że ci cudzoziemcy niszczą nam zwierzynę, że nie należałoby pozwalać im polować u nas, bo my Francuzi nie szukamy tej przyjemności u nich i t. d. Te wyrzuty są według mego zdania niesprawiedliwe. Pra-

wda, Anglicy posiadający doskonałe psy, lepiej dresowane jak nasze, strzelający wybornie, wybijają nam wiele zwierzyny, przeciągającej na błotach, ale natomiast umieją oni stworzyć wyborne polowanie w miejscach, w których przedtem wcale nie było zwierzyny i administrują myśliwstwo rozumnie. Czyż w takim razie sąsiedzi mają powód skarzyć się na nich? Mógłbym na poparcie tego twierdzenia zacytować myśliwstwo w pobliżu Melun, które anglik M. St. z wielkim kosztem uczynił bogatem w zwierzynę. Po latach 15 powrócił on do Anglii, wzorowe jego myśliwstwo dostało się w ręce niedoświadczone, a w przeciągu trzech lat była tam istna pustynia. Co do zarzutu, że my nie wyruszamy na łowy do Anglii, to wiąże się on z kwestyą obyczajów i kastowości, których większa część myśliwych francuskich wcale nie zna. W Anglii wielcy panowie, najbardziej uposażeni bogactwem, żyją w swojem kole i polują tylko z sobą; wielka ich gościnność, jakiej nie szczędzą w swoich posiadłościach, połączona ze zbytkiem i przepychem, świadcząca o dumie brytańskiej, nie dopuściłaby, jak u nas, do siebie klasy średniej, która zresztą nie czułaby się tam swobodną. Cudzoziemcy, których bogaci anglicy zapraszają na swe polowania, są zawsze ludzie dostojni, a myśliwy miejski, najbardziej szanowany, byłby między nimi zjawiskiem rażącem. Zresztą zapewniam, że taki myśliwy jużby tam drugi raz się nie zjawił z następującej przyczyny: Anglicy, żyjący wspaniale w swoich rezydencyach, mają pewną szkaradną ujemność, którą im wyrzucę, choćby tylko dla dogodzenia mojej miłości własnej narodowej. Są to naprzód ich zajazdy *(tourne bride)*, a następnie ich liczni lokaje upudrowani i biali. Zajazd, jest to hotel umeblowany, położony w pewnem oddaleniu od zamku. Tam są umieszczeni i żywieni słudzy, konie i psy zaproszonych, a w chwili odjazdu podają rachunek, jakby w istotnym hotelu. Co do lokajów, dla których ich panowie, płacąc podatek, nabywają prawo pudrowania im głów, a mówię o tem z przyczyny, iż zgodnie z zwyczajem lokaje ci ustawiają się w dwóch rzędach w przedsionku i wyciągają rękę w chwili odjazdu zaproszonych. Przykład niech rzecz objaśni: Czterech urzędników myśliwstwa cesarskiego polowało przez 48 godzin u lorda H.; opowiadali mi oni, że każdy z nich rozdał 50 napoleondorów służbie, która bardzo licho swe obowiązki pełniła. Przyjemność to tylko dla myśliwego z zaopatrzoną dobrze kieszenią. Bądź jak bądź, Anglicy z ich zamkami, z bogatą zastawą, z końmi, z złajami psów, z białymi krawatami i wspaniałą miną, nie sięgają po kostki, według mego zdania, naszym posiadaczom małym i wielkim, których gościnność jest serdeczniejszą, skromniejszą i mniej wystawną, nie dogadza tylko miłości własnej, jak gościnność angielska, a ma nadto zasługę wielką zaspokojenia serca tak ofiarującego, jak przyjmującego ofiarę.

Anglicy polują ze strzelbą nader systematycznie, często bardziej dla psów, jak dla siebie, nigdy przeto nie dopuszczają się uchybienia wypełnienia choćby jedną sztuką swej torby myśliwskiej. W łowach na jarząbki *(le grouse)* są nasi sąsiedzi istotnie znakomitymi, myśliwi i psy ich godni podziwu.

Anglija jest naprawdę najbogatszą w całej Europie w zwierzynę. Chcąc mieć wyobrażenie, ile bywa zwierzyny w większych majątkach, trzeba się odnieść do czasów króla Karola X. i ostatniego cesarstwa. Dziwna rzecz, anglicy, których my tak chętnie naśladujemy, zdają się od kilku lat przejmować nasze upodobanie do łowów z obławą. Wcale im tego nie zazdroszczę. Według mego zdania niezawodnie lepiejby uczynili polując *par force*, według niewzruszonych prawideł łowiectwa francuskiego, których wcale nie znają.

Ostatecznie dziwnem byłoby to złudzeniem sądzić, że sprawy myśliwskie kroczą w tym szczęśliwym kraju z łatwością ku postępowi, wiele do tego brakuje, mają bowiem Anglicy swoje Pendżebh i swój Chartum łowiecki w swych majątkach, w których żalą się na brak zwierzyny i znachodzą odgłos u swych rządów, które umieją w czas ustąpić, aby nie być zmuszonym uledz naciskowi.

Hiszpanija. Co do sportu Hiszpanija zdaje się nie postępować. Hiszpanie wiele rzeczy u siebie zatracili, nie pozostaje u nich nic wspaniałego i pięknego, prócz czystego nieba i uroczych niewiast.

Zwierzyna staje się coraz rzadszą, zmniejsza się jej liczba w miarę rozmnażania się zwierząt szkodliwych, nader tam licznych. Jakżeż zresztą ma być inaczej wobec całkowitego niemal pustoszenia lasów, jako smutnego następstwa odwiecznego zwyczaju swobodnego pastwiska? A jednak w celu zapełnienia zwierzyną tego przepięknego kraju dosyć by było wprowadzić lepsze prawodawstwo i staranniejszy dozór. Wieśniak hiszpański da się doskonale użyć do straży lasowej. Słyszałem, że księżę Alby mówił do cesarza, iż czterech przez niego wybranych hiszpanów lepiej ochronią las w Compiegne od kłusownictwa, jak 30 dozorców zwykłych.

Możnaby sądzić, że zwierzyna w Hiszpanii policzoną jest do rzędu szkodników. Znikanie zwierzyny we Francyi odbyło się niejednostajnie, są departamenta zupełnie jej pozbawione, inne, mianowicie w pobliżu Paryża, są bogate w zwierzynę. W Hiszpanii, gdzie żywioły destrukcyjne są niemal te same, zwierzyna znikała równorzędnie; wszędzie ona się jeszcze znajduje, ale w nader małej liczbie, wszelkie jej rodzaje są zastąpione niezawodnie tak, jak niegdyś w arce Noego.

Jak u wszystkich narodów ucywilizowanych, miała ta szlachetna rozrywka i tu swój czas świetności, którą zawdzięczano tak królom-myśliwym dawnych czasów, jako też licznym pisarzom w tym przedmiocie, takim, jak Moratin, Martinez d' Espinar, Lopez d' Ayala i jego rozprawie o sokolnictwie, której niemal codzień się radzę. Hidalgowie staczali istotnie walki z niedźwiedziami, dzikami, wilkami, a łowy urządzano według pewnych prawideł, które odtąd należą do dziedziny prawdziwej umiejętności. Pozostałe walki z bykami dają żywy i dziki obraz owych dawniejszych zapasów. Co do łowiectwa hiszpańskiego *(monteria)*, nie mającego nic wspólnego z naszem myśliwstwem, to tylko jest pewne, że istnieje ono obecnie chyba z imienia, w ostatnich czasach usiłowania ożywienia jego dały tylko rezultaty ujemne, cały aparat myśliwski znikł wnet po swem pojawieniu się. Nieraz pozwoliłem sobie ganić istne rzezie, jakich się dopuszczają właściciele majątków w okolicy Paryża; pod tym względem panowie hiszpańscy nie zasługują na naganę, grzeszą oni bowiem winą przeciwną, nieposiadania zwierzyny.

Podczas mego pobytu w Hiszpanii reprezentował tam Francyę p. A. Barrot, prawdziwy ambasador, strzegący gorliwie praw swych ziomków. Wzorowy ten dyplomata był myśliwym; było to wystarczające, abym się zbliżył do ambasady, gdzie zresztą przyjęto mnie nader uprzejmie. Pewnego dnia pozyskał p. Barrot z polowania trzy króliki,

dwa bekasy i jednego zająca, tyle tylko zabił w przeciągu dwóch dni na prześlicznych obszarach w okolicach Granii, jeżeli się nie mylę. Wielka szkoda, że w Hiszpanii tak mało zwierzyny, nigdzie nie jadałem tak wybornej jak tam, przyrządzona przez kucharza francuskiego, jest wyśmienitą.

Nieraz bywałem zapraszany na polowania, na których bardzo mało zwierzyny zabijano, ale natomiast nasłuchałem się prawie zawsze opowieści — hiszpanie nader żywo opowiadają — ciekawej o Pedrze II., królu Arragonii, który w ciągu łowów szukał gościnności w zamku Mirevaux, gdzie zalecał się do pani domu. Mniemając, iż wchodzi do komnaty owej damy, stanął wobec swej własnej żony Maryi Montpellier, do której nie zbliżać się nigdy poprzysiągł sobie. W skutek owych łowów narodził się ten, który wypędził Maurów z Walencyi, zwany później Jakóbem zdobywcą.

Przybywszy w okolice dzikie i skaliste Cuency, znajdowałem przyjemność w zabijaniu lisów z zasadzki, ściągałem je ścierwem. Wkrótce sprzykrzyło mi się to polowanie bez zasługi, takie skrytobójstwa nie mogły dogadzać myśliwemu mojej szkoły. Wolałem szukać królików w jamach lub łapać je chartami. Niestety królików było bardzo mało. Sześciu nas było na takiem polowaniu: proboszcz miejscowy Don Agraz i jego chart, kusy zabytek z czasu Maurów, zakrystyan z łasicą, ja z moją Lefoszówką. Gdyśmy znaleźli nory, prawdopodobnie zamieszkane, to stawaliśmy przy nich, zwierzęta kładły się u nóg naszych. Gdy wyskoczył królik, wnet pies go chwytał, ale najmniejszy krzak był mu w tem przeszkodą. Nieraz udawało mi się zabić królika, lecz często pies utrudniał mi strzał.

Kupiłem u wieśniaka za kawałek chleba trzy głowy jeleni dziesiętaków, rogi ślicznie osadzone, wysmukłe, rowki zaledwie widoczne, należały one do zwierząt starych sądząc z korzeni.

Podczas mego pobytu w Hiszpanii r. 1863 był stan broni myśliwskiej zacofany i daleki od tej doskonałości i wytworności, jaka u nas się objawiała. Moja Lefoszówka była przedmiotem podziwu wszystkich myśliwych, z jakimi się stykałem, dodać jednak winienem, że nie należeli oni do wysokiej arystokracyi krajowej.

Szwajcarya jest krajem łowów wyjątkowych, zawsze prawie połączonych z trudnościami, które pokonać zdołają tylko ludzie energiczni, zahartowani, jakich wydaje ziemia strefy alpejskiej. Myśliwy paryski w bucikach z cienką podeszwą, w ubraniu lekkiem, jak róża zwiądłby w jednym twardym poranku. W ojczyźnie Wilhelma Tella i Waltera Fürsta, potrzebne grube obuwie, nogi żelazne, ubranie ciepłe i płuca konia czystej rasy. Szwajcarya i jej wyżyny, pokryte wiecznym śniegiem — to łowy na kozice, głuszce, pardwy i białe zające. Niedźwiedź staje się coraz rzadszym w tym kraju granitu i kryształowych skał.

Dla tych, których nie przeraża groza złamania karku i wyłupienia oczów, istnieje tu jeszcze przyjemność wybierania gniazd orląt. Sądzę, iż najlepiej ten sport pozostawić krajowcom, którzy zresztą nie lękają się rywalizacyi z obcymi.

Przez dwa lata przebywałem w instytucie agronomicznem w Hofwil (było to dawniej) w kantonie Berneńskim, pośród gór i lasów. Dwa lub trzy razy w tygodniu wyprawiałem się na małe polowanie w okolicę, z wybornym psem gończym francuskim, którego p. Bellecroix zaszczycił, umieszczając go w swej książce o wyżłach. Zabijałem każdym razem jednego lub dwa bekasy na niewielkim moczarku. Nigdym nie widział ani jednej kuropatwy, ani jednej przepiórki, królika znano tam tylko z imienia, bywało zaledwie kilka zajęcy i tyleż lisów. W miesiącu Listopadzie miałem szczęście trafić, pierwszy raz w mojem życiu, na przeciąg słonek w młodym sośniaku bardzo gęstym. Zabiłem z nich trzy, spudłowałem pięć czy sześć.

Poznałem w Bernie bardzo szanownego trafikanta tytoniu, posiadacza czterech chartów, a co więcej, mimochodem mówiąc, bardzo ładnej żony, która dla mnie wybierała najlepsze cygara. Każdego zająca brały te charty, czasem po dwóch lub trzech godzinach wyścigów. Obecnie p. de Pourtales z Newszatelu ma ze dwanaście szwajcarskich psów, które żadnego zająca nie puszczą; nigdy z lepszymi psami nie polowałem. Mniemam, że sławne psy porcelanowe Lunewilu pochodziły od szwajcarskich, których rasa przechowuje się u Dra Cuillota, w Jurajskich górach. Za mojej pamięci Szwajcarya była prawie pozbawioną zwierzyny, dziś w skutek rozumnego zarządzenia, pozostawiając całe kantony w spokoju, wynagradzając tępienie zwierząt drapieżnych, powstrzymało państwo upadek zwierzostanu. Sarny, kozice są obecnie liczne w kantonach, graniczących z Niemcami, które im tej zwierzyny dostarczają. Rzeczpospolita francuska powinnaby sobie wziąć za wzór rzeczpospolitą helwecką, która zrozumiała, że zwierzyna jest bogactwem kraju, godnem starannej opieki.

Niemcy. Austrya, Saxonia, Prusy, wszystkie księstwa, wszystko, co mówi niemieckim językiem po drugiej stronie Renu, są dla mnie Niemcami. Żyłem, polowałem w tych krajach, mówię ich językiem, znam ich prawa, a w szczególności prawodawstwo myśliwskie, różnorodne w różnych stronach, dziwne, wszystkie dążą jedynie do zachowania zwierzyny, a myślą ich główną jest powstrzymanie jej upadku. W każdym czasie prawodawcy uważali zwierzynę jako produkt ziemi, przynoszący znaczną część pożywienia publicznego. Niedawno jeszcze była ona wyłączną własnością państw, czem się tłumaczy surowe prześladowanie wszelkiego kłusownictwa w tej epoce. Niemcy mają sławę wybornych myśliwych; jest to według mego zdania błędne mniemanie, raczej należałoby ich zwać dzielnymi administratorami łowiectwa, w tym względzie mogą oni istotnie być wzorem dla wszystkich narodów w Europie. Umieją oni przedewszystkiem wyciągać jak największą korzyść z zwierzyny, sprzedawać ją w stosownym czasie, gdy ona ma największą wartość handlową. Zręczni strzelcy w lot o wiele są rzadszymi w Niemczech, jak w Anglii i Francyi, strzały kulą są rzeczą Niemców, którzy też przeważnie używają sztućców.

My, o ile mi wiadomo, nie mamy wybitnej metody układania wyżłów, we Francyi ile myśliwych, tyle układaczów, tyle biczów, tyle korali, tyle popsutych psów — bo nie ma przewodniej myśli w układaniu. Myśliwi nie chcą nigdy powierzyć swoich psów wytrawnemu w tym względzie mistrzowi, układają sami. Znam tylko dwie metody dresowania: angielską i niemiecką. Pierwszeństwo oddaję drugiej, ponieważ ona ma wielką zasługę w wychowywaniu psów dla pożytku i przyjemności, co wszakże nie przeszkadza mi rozumieć, że można się zachwycać psami angielskimi i ich dresurą. Niemcy, których rozum praktyczny góruje nad naszą rutyną i przyjętą regułą, wychowują psy nader systematycznie i umieją uczynić je pożytecznymi tak dla polowania, jak dla domu. Zresztą

chart ścigający zająca, nigdzie u nich nie znajdzie pola do działania i naraziłby pana swego na surowe upomnienie trzymania go na uwięzi. Liczne wystawy psów w różnych miejscach i każdego niemal roku, urządzane przez wyborowe Towarzystwa, protegowane przez książąt i dostojne damy, przyczyniły się niemało w ostatnich czasach do ulepszenia i rozpowszechnienia gatunków angielskich, bardzo modnych obecnie u naszych sąsiadów tak, iż posądzam ich o anglomanją w wysokim stopniu, chorobę pojawiającą się sporadycznie, której my dotąd podlegamy. Wszystkie te Towarzystwa chowu psów założone zostały przez miłośników bardzo kompetentnych, którzy zrazu przejęli się wszystkiem, co angielskie, ale użyli tylko tego, co się okazało u nich pożytecznem. Co do wielkich wystaw Niemcy dają dowód niemałej skromności, powołując sędziów rzeczoznawców z Anglii, których uważają za wyrocznię nieomylną. Wiadomo, że stronniczość anglików względem swoich psów jest grzechem pospolitym. Zresztą nie mam powodu rozszerzać się nad ważną sprawą wystaw psów, pan E. Bellecroix dając dokładny obraz wszystkich wystaw zagranicznych, ocenił je należycie i nic nie pominął prawdziwie interesującego w tych sprawozdaniach.

Czy to z przyczyny temperamentu, czy też w skutek ścisłych i wyrozumowanych zarządzeń bez końca, które stykają się ze starem francuskiem przysłowiem, że tam, gdzie nie ma swobody, nie ma przyjemności, jest rzeczą pewną, że Niemcy na łowach nie należą do wielce wesołych towarzyszów. Gdy polują z obławą, przy której ubija się setki zajęcy, trzeba przed rozpoczęciem tej rzezi wysłuchać regulaminu, obowiązującego bezwzględnie każdego myśliwego. Strzelb bez zabezpieczenia nie wolno używać. Od lat dwudziestu domagam się wprowadzenia tej rozumnej przezorności we Francyi. Numer śrótu, mający być użytym, naprzód jest postanowiony. Surowo zabrania się strzelać do zajęcy bliżej jak na 40 kroków. Myśliwi zajmują stanowiska w zupełnem milczeniu, według wyciągniętych losem numerów. Podczas gonu nie wolno palić tytoniu, ani też pod jakimkolwiek pozorem opuszczać swego stanowiska, dokąd nagonka się nie zbliży. Psy bardzo karne wolno mieć przy sobie. Kary pieniężne wchodzą do kasy najbliższej instytucyi dobroczynnej. Przy polowaniu na kuropatwy, rozpoczynającem się zwykle 25. Sierpnia, a zamykającem 1. Października, Niemcy nie mniej są systematyczni i ściśle prawa przestrzegający. Nie zobaczysz tam nigdy na wykazie zająca i młodych ptaków. Rzadko kiedy dwóch myśliwych razem poluje. Dwaj strzelcy i jeden pies szukający, to reguła, gdy jeden pies się zmęczy, używa się drugiego. Zwierzyna zawieszona jest w koszu, który nosi chłopak. Wszystkie psy legawe niemieckie są wybornie ułożone, szukają blisko, wystawiają pewnie, odwołują się łatwo i idą na wodę. Czy polujesz u bogatego właściciela, czy w rewirach państwowych, to rzecz obojętna, zapłacisz po cenie wskazanej za każdą zwierzynę, którą z sobą zabierzesz.

We Francyi 350.000 posiadaczy pozwolenia polowania stanowią prawdziwą mozaikę społeczną, najróżnorodniejszą, po drugiej zaś stronie Renu istnieją tylko trzy kategorye myśliwych, mianowicie urzędnicy państwa (leśnicy i straż leśna), wielcy posiadacze ziemscy i amatorowie polujący tylko jako zaproszeni, a są to zwykli oficerowie.

Jelenie, dziki i daniele ubija się tylko kulami, z zasadzki lub na podchodnem, a rogacze na wabia. Samice są ochraniane i utrzymywane w należytym stosunku. Chart mało jest znany u Niemców, natomiast używają tropowców, które zawsze prawie znajdują zwierzynę postrzeloną. Leśnicy znają zawsze dokładnie stan zwierzyny w swych rewirach, co im ułatwia regulowanie jej mnożenia się i powstrzymanie szkód, jakie wyrządzićby mogła lasom i zasiewom rolnym. Z tego powodu w zimie, w czasie śniegów poddaje się starannie i rozumnie zwierzynie żer. W lasach z bogatym zwierzostanem, leśnicy w celu zapobieżenia szkodom w kulturach leśnych, urządzili pola, dające wyborne pastwiska, a oddalone znacznie od zasiewów polnych.

Niemcy są jedynem państwem w Europie, którego straż lasowa w ogólności tępi ogromną liczbę zwierząt szkodliwych.

Ostatecznie jakkolwiek prawodawstwo w ogóle w całych Niemczech jest w najwyższym stopniu zachowawcze, to jednak jest rzeczą pewną, iż zmianom, jakim ono w ostatnich czasach podległo, a które wywołane zostały przez nowoczesne pojęcia, nadano kłamliwy tytuł postępu, nie mniej też jest pewnem, że owe zmiany wcale nie przyłączyły się do prawodawstwa doskonałego. W ogólności Niemcy nie mają powodu się żalić, to, co posiadają, jest lepsze, jak nasze prawo z r. 1814. Zresztą proszę rzecz osądzić ze stanu zwierzyny, który na chybił trafił wyjmuję z pierwszego lepszego pisma myśliwskiego. W państwie Koppitz w górnym Szląsku, majętności hr. Jana Ulryka Schaffgotsch ubito od 1. Kwietnia 1884 do końca Marca zwierzyny pożytecznej i zwierząt szkodliwych: jeleni 2, łań jałowych 6, danieli 43, sarn kozłów 75, kóz jałowych 39, zajęcy 3.493, królików 3.876, bażantów 1.498, słonek 38, kuropatw 1.608, głuszca 1, bekasów 17, kaczek 262, przepiórek 82, gęsi, cietrzewi 339. Razem zwierzyny pożytecznej 11.379. Dalej borsuka 1, lisów 18, wydr 5, tchórzów 62, kun 4, łasic 171, jeżów 44, wiewiórek 21, orła 1, kanie 2, wielkich ptaków drapieżnych 115, mniejszych 178, srok 202, kruków i sojek 491, psów 96, kotów 159. Razem zwierząt szkodliwych 1.750. Ogólna liczba 13.129. Ileż to pożytecznej nauki w tym wykazie!

(Dokończenie nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Kair (Egipt).

(Ustęp z listu). Przechodzę do rzeczy, która ciebie żywo zajmuje. Polują tu, równie jak u was, namiętnie, naturalnie bezemnie, bo, jak ci wiadomo, nigdy myśliwym nie byłem i dziś nim nie jestem. Z chartami puściłbym się jeszcze na łowy, jak ongi na polach Kamienopola, Mikłaszowa, Barszczowic i t. d. Miłe to dla mnie wspomnienia, zwłaszcza tu na dalekiej obczyźnie! Zanim przystąpię do właściwego przed-

miotu, opiszę ci smutne, a zarazem miłe dla mnie zdarzenie dnia dzisiejszego. Dosiadłszy konia, w towarzystwie kawasa, wyruszyłem za miasto w stronę Nilu, który tu rozdzieliwszy się w dwie odnogi, toczy swe mętne, lecz od biblijnych czasów użyźniające wody ku śródziemnemu morzu. Kawas znając moje usposobienie, iż po za miastem lubię być sam, pozostał daleko w tyle, podobnie jak owe sławne niby charty ś. p. radcy Wę. we Lwowie, opanowanego na starość zbierania byle jakich, ale pokaźnych. Do zachodu słońca było jeszcze daleko. Muszę tu nawiasem nadmienić, że w krainach bliżej zwrotnika położonych, zmroków wieczornych lub brzasków porannych, tak jak w Europie, wcale nie ma. Mamy tu tylko dzień i noc. Równina, którą płyną owe dwie odnogi nilowe, porośnięta gdzieniegdzie gaikami palmowymi, przyrzecza zaś i brzegi moczarowate, otoczone wysoką i grubą trzciną. Między odnogami nilowemi znajduje się wiele ławic piaskowych, zmięszanych z tłustym szlamem, przeto porośniętych bujną trawą. Miejsce to najulubieńsze dla różnorodnych ptaków. Są tu czerwone ibisy, jak w czasach Faraonów, tak też dziś przez Fellahów religijnie czczone; czaple białe, modronose, z dzióbami chochelkowymi, pelikany, kaczki i — bociany. Jakżeż rzewnie nastroił mego ducha ich widok! Przypomniał mi się w całym swym uroku mój ubogi, chłodny, a jednak tak drogi sercu kraj rodzinny. Gdy który z nich zaklekotał, to owa pieśń w łzach się moich rozpłynęła. Przypomniały mi się lata młodziencze, wycieczki wakacyjne na wieś, owe słomą pokryte chaty wieśniacze, na których szczytach rozsiadły się gniazda tych ptaków. Były tam i czajki, lecz nie „kihitały“, one tu dużemi stadami latają, żerują, lecz się nie pieleszą. Widok bocianów przypomniał mi anegdotkę dawniej czytaną, iż ktoś uchodzącemu do cieplic bocianowi przyczepił do szyi kartkę z napisem: „*Haec ciconia ex Polonia*“; bocian ów powrócił na rodzinną swoją strzechę z torebką u szyi, w której mieścił się znacznej wartości brylant. Dar ten pochodził zapewne z serca, równie jak moje rozrzewnionego.

Ale nie pora do rozczulań i rozmyślań; słońce zniża się ku zachodowi, poczem bezpośrednio noc, a noc na wschodzie, nawet w pobliżu miasta z 400.000 ludnością, nie bardzo bezpieczna, albowiem tuż za bramami rozciąga się puszcza, wstęp do owej sławnej i groźnej puszczy Libijskiej. Od beduinów wprawdzie nie ma niebezpieczeństwa, ale raczej od czworonożnych wrogów człowieka: wilków i szakali. Pierwsze, znacznie mniejsze od europejskich, mają włos rudawopłowy. Szakale ze zbliżeniem się nocy wychodzą z swych kryjówek w górach skalistych i nagich *Gab-al-achmar* czyli czerwonych, tym bowiem kolorem owe granitowe głazy zabarwione. Zwierząt tych nikt za dnia nie zobaczy, nocą dopiero wysuwają się z swego dziennego schroniska i podchodzą często pod same przedmieścia Kairu, przez ubogich zamieszkane Fellahów, rabując co się nadarzy, drób, trzodę, nawet dzieci, gdy je niebaczna matka bez opieki pozostawi. Wilki i szakale przemyślnie podkradają się pod ptactwo na „deltach“ nocujące. Szczególnie mistrzami są w tem wilki, podobnie do naszych polskich, bobrujące po wodach i moczarach. Niejednokrotnie wśród cichej nocy dochodziły przy otwartem oknie ucha mego wycia wilków i jakoby płaczliwe skomlenie „nypiących“ szakali. Jednych i drugich ma być dosyć wiele w owem pasmie gór, mniej hyen, znajdujących się wyłącznie po stronie zachodniej Kairu, na wzgórzach „Mokałan“. Nie łatwe z niemi spotkanie, są bowiem nader ostrożne i lękliwe, więc mniej niebezpieczne, zdala zwietrzywszy człowieka lub psa, umykają. Przeciwnie wilki i szakale całemi stadami opadają co nocy wszystko, co się zdarzy. Żaden podróżny, chyba w licznem towarzystwie i zbrojno, nocą w drogę się nie puści, woli przenocować w karawanseraju (dom zajezdny), których tu wszędzie mnóstwo, jak wystawić się na napaść zwierzęcą i ludzką. Zdarzało się nieraz, iż karawana, mająca kilkanaście wielbłądów i koni, zaledwo zdołała się obronić gęstymi strzałami i spieszną ucieczką od napaści gromady, złożonej często z kilkuset drapieżców. Wielbłąd lub koń, gdy się potknie w tej szalonej ucieczce, ginie rozszarpany w szmaty i pożarty. Hyeny, mimo swej drapieżności i żarłoczności wcale ludziom szkody nie czynią, szukają tylko istot nieżywych. Jak rekiny na morzu towarzyszą okrętom i chwytają skwapliwie, co z niego wypadnie, nawet trupy ludzkie i natychmiast pożerają, tak też czynią hyeny na lądzie wschodnim. Wszystko martwe jest ich łupem, nawet z cmentarzów wygrzebują ciała i pożerają. Ta to zapewne przyczyna skłoniła ludy na wschodzie do palenia ciał umarłych. Żydzi kryli je w skalistych pieczarach. Turcy dziś jeszcze groby murują i przywalają ogromnymi głazami, chroniąc ciała od hyen. Indyanie palą ciała umarłych. Jak trudnem jest spotkanie z hyeną, przekonał się o tem lekarz konsulatu austryackiego Dr. Hans Häcker. W ciągu lat trzech, częste robiąc wycieczki ku górom Mokałan, stałej siedzibie hyen, zaledwie udało mu się ubić dwie sztuki. Pierwsza kosztowała go 100 piastrów na obławę z Fallahow, którzy ją wyparli drągami z pieczary skalnej. Drugą ubił sz. eskulap na zasiadce. Poradziłem mu, by kupiwszy starego osła u którego z Fellahow, użył jego trupa jako przynęty, zasiadł o 50 kroków i czekał cierpliwie. Uczynił to. Noc była ciemna; w dali widział świecące oczy hyen, które wszakże zbliżyć się nie chciały. Zły i zniechęcony powrócił z wyprawy, czyniąc mi wyrzuty, iż na daremny trud go naraziłem. Wtedy wskazałem mu wzór naszych chłopów lub leśniczych, którzy klecą budy lub kopią doły, czatując na wilki lub lisy. Toż i on kazał wykopać dół, pokrył go chwastem i skrył się w nim. Ścierwo silnie się już rozkładające nęciło do siebie hyeny. Około północy ubił ogromną hyenę samicę szczenną. Odtąd inaczej na nie nie polował; nie używał nawet jamników ostronosych, które tu anglicy wprowadzili, bo one hyen tropić nie chciały. Jak wstrętną jest hyena dla wszystkich zwierząt, najlepszym dowodem, że jej ścierwa ani wilk, ani nawet szakal niewybredny, nie pożera. Podobno nawet kondory nie żrą jej ciała.

Anglicy tu zamieszkali, t. j. urzędnicy konsulatu, wojskowi, kupcy, wszyscy polują, przeważnie na błotną i wodną zwierzynę. Synowie Albionu we wszystkiem lubią komfort, a więc i w polowaniu. Używają też przeróżnych przyrządów myśliwskich w najlepszym gatunku. Od strzelb do kamaszów wszystko z Londynu. Był czas, że oficerowie angielscy zawzięcie polowali na gazele, znajdujące się na najwyższych szczytach gór *Geb-el-achmar*. Góry te bezdrzewne w większej części. Gdzie lasek palmowy, tam pewnie też strumyk, charakterystyczne to, że palmy tak na wydmach piaszczystych, jako też na wzgórzach, rosną tylko w pobliżu wód, tworząc oazy orzeźwiające, a na górach wdzięczne gaiki, dosyć zwarte, z wierzchołkami dosyć rozłożystymi, które jednak bardzo niedostatecznie chronią od skwarów słonecznych. Zresztą niepodszyte gaje niedozwalają podsunąć się pod stadko trwożliwych gazel, więc polować na podchodne niepodobna. Poluje się jedynie z psami. Gończych i ogarów nikt tu nie zna, bo beduini ze strzelbą nie polują, nie wolno im bowiem spożywać stworzenia niezarzniętego nożem, zresztą nie mają upodobania w myśliwstwie, więc też w okolicy Kairu i Alexandryi krajowa rasa psów myśliwskich nie istnieje. Anglicy sprowadzają z ojczy-

zny swej wyżły, które z niewiadomego powodu, mimo starannego pielęgnowania, rychło marnieją. Jedyną rasą psów europejskich, ktora tu się utrzymuje, są jamniki, toż każdy europejczyk myśliwy posiada je. We wszystkiem praktyczni anglicy sprowadzają jamniki rasy większej, które wyborne przynoszą usługi, posiadają bowiem wiatr doskonały, a nadto wytrwałe są na zmianę klimatu.

Jak wyżej rzekłem, oficerowie angielscy polowall pewnego czasu wyłącznie na gazele. Mimo wielkich zachodów i znacznego kosztu, rezultaty łowów nie były świetne, a to z powodu nadto wielkich przygotowań. Gaj palmowy, w którym upatrzono stado gazel, otaczano Fellahami. Pilnowali oni przez całą noc, zaręczali, że ani noga nie wyszła w puszczę, wtedy rankiem podkładano 12 jamników takim sposobem: każdy służący oficerski trzymał na smyczy jednego jamnika i puszczał go tam, gdzie mu się podobało. Rezultatem tego była istna wieża Babel; każdy jamnik pochwyciwszy trop począł gonić, stadko gazel rozpierzchło się na wszystkie strony, w bardzo małej liczbie ukazując się myśliwym, ledwie dwie padały od strzałów, reszta ruszała w puszczę. Dowiedziawszy się o tem, poradziłem im polować według polskiego sposobu, podkładając psy razem. Posłuchali mej rady, a rezultat okazał się świetny.

Nie długo trwał ów zapał do łowów na gazele śród anglików, wnet powrócili do swego zwykłego polowania na wodne i błotne ptactwo. Jaki to komfort w tem polowaniu? Łodzie myśliwskie, zaopatrzone we wszystko, co do wygody i użytku potrzebne, płyną korytem majestatycznej rzeki; myśliwi odziani suknią jednego kroju, bladożółtej barwy, ulubionej u Anglików, na głowach kapelusze w kształcie dużych czapek dżokejskich, z spadającym w tyle szalem, ochraniającym głowy od skwaru afrykańskiego słońca. Obok strzelców znajduje się rodzaj szaragów, w kształcie dawnych fajczarni, gdzie rzędem oparta broń myśliwska. W końcu łodzi usadowionych kilku na pół nagich Fallahów, z wybitnymi do dziś rysami dawnych Egipcyan. To dwunożne aportery, bo psy rasy angielskiej zwierzyny z wody nie wyniosą. Fellahowie chętnie wynajmują się „inglezom“ jako wyżły, bo dobrze bywają płaceni. Takich łodzi płynie kilka, czasem kilkanaście, wsuwając się nikiedy w trzciny, gdzie na czystych wodach pluszcze się mnóstwo kaczek i pelikanów, na które wyłącznie się poluje. Padł strzał, a za nim Fellah w wodę po ubitą lub zranioną zdobycz. W ostatnim razie rozpoczyna się walka Fallaha z broniącym życia swego ptakiem, n. p. pelikanem. Bije on dotkliwie swym potężnym dzióbem, wali lotkami silnych skrzydeł, a gdzie ugodzi, to jakby młotem lub drągiem. Wie o tem Fellah, więc tak manewruje, aby go ptak nie dosięgnął; podpływa z tyłu, aby go za szyję pochwycić, wtedy już pewny zwycięstwa. Bywają wypadki, że pelikan słabo raniony odnosi zwycięstwo, Fallah zaś złamaną rękę lub dziurę w głowie, w takim to razie dobija się ptaka strzałami.

Polowanie na błotne ptactwo urządzają anglicy zwykłym sposobem, z wyżłami, albo bijąc je bez miary, gdy znużone podróżą przez ocean zapadnie na suchym lądzie dla wypoczynku. Takie polowanie budzi wstręt nawet w najzagorzalszym myśliwym. Na czaple polują chyba specyaliści, czyli amatorowie takiego polowania. W istocie trzeba niezwykłego amatorstwa, aby nie zrazić się trudami, połączonymi z niem. Ród czapli, czy to w rodzinnej Europie, czy tu w gościnie, zawsze ostrożny i przebiegły, nie łatwo go podejść na strzał. Słynni z cierpliwości anglicy zwalczają go nią. Na parę godzin przed wschodem słońca, ubrani w kauczukowy strój nieprzemakalny, owinąwszy głowę, jakby hełmem z zielonego sitowia, stojąc często po pas w wodzie, ukryci w trzcinach, czekają w pobliżu miejsc, gdzie czaple z rozświtem dnia zwykły przylatywać na żer. Oto już ciągną gromadkami, bo tu w obczyźnie o tyle zmieniają tryb życia, że nie latają samotnie, każdy gatunek z osobna. Poczyna się strzelanina. Ile od razu spadnie, tyle też rezultatu zabiegów, wiedzą bowiem myśliwi, że dalsze czatowanie jest daremne, bo już nie wrócą w to miejsce, więc strzelają do innej zwierzyny. Jedynie cenną zdobyczą tego mozolnego polowania są dwa pióra z czaplego grzbietu, z nich wyrabiają rodzaj wachlarza, a raczej narzędzia do opędzania się od roju owadów, napastujących ludzi nawet w salonach. Pęk takich piór, około 20, płaci się 5, a czasem więcej funtów szterlingów.

Bociany, dla których u myśliwych angielskich zawsze błagam łaski, taką mnie przejęły tęsknotą za krajem rodzinnym, że postanowiłem wraz z nimi z całą moją rodziną tam pociągnąć.

Teodor Neumann.

KRONIKA.

Na posiedzeniu Wydziału galic. Towarzystwa łowieckiego z dnia 8. Czerwca 1887 obecni byli: hr. Szembek Stefan, wiceprezes Towarzystwa, jako przewodniczący; członkowie: Czarkowski Tadeusz, Dr. Kratter Ferdynand, Simon Edward, Zontak Władysław. Po odczytaniu protokołu z ostatniego posiedzenia powzięto następujące uchwały:

Wydział zamianował w miejsce ordyn. Czarkowskiego dyrektora E. Simona delegatem do ankiety w sprawach łowiectwa przez Wydział krajowy zwołanej.

Wydział reasumuje uchwałę w sprawie urządzenia Wystawy łowieckiej w tym kierunku, iż stanowczo postanawia urządzić wystawę wspólnie z Towarzystwami rybackiem i leśnem.

Sekretaryat odeśle kwotę 400 złr., przeznaczoną na cel wystawy, na ręce p. Kluczyckiego, wiceprezesa Tow. rybackiego.

Sekretaryat zawezwie członków galic. Tow. łow., jako też wszystkich zwolenników łowiectwa do wzięcia udziału w wystawie i do nadsełania okazów na ręce sekretarza.

Wiceprezes Tow. łow. porozumie się z pp. Dzikowskim i Molnarem w tejże sprawie.

W końcu uchwalono prosić Najdostojniejszego Arcyksięcia Rudolfa, w czasie jego pobytu we Lwowie, o przyjęcie protektoratu galic. Towarzystwa łowieckiego i oznaczono skład deputacyi, mającej tę prośbę przedłożyć.

Na tem zamknięto posiedzenie.

Celem wypracowania projektu do ustawy łowieckiej, który zamierza Wydział krajowy przedłożyć na najbliższej sesyi sejmowej, powołaną została przez tę władzę specyalna ankieta, dla rozpoznania i przedyskutowania tej kwestyi.

W skład tej ankiety wchodzą delegowani przez lwowskie Towarzystwo gospodarskie pp. Włodzimirz hr. Dzieduszycki i ks. Władysław Sapieha; przez krakowskie Towarzystwo gospodarskie: pp. Stanisław Homolacz i Antoni hr. Wodzicki; przez Towarzystwo kółek rolniczych:

pp. Artur Cielecki i Jan Breyer; przez Towarzystwo łowieckie: pp. Edward Simon i Dr. Ferdynand Krater. Prócz powyższych zaprosił Wydział krajowy do tej ankiety posłów sejmowych pp. Tadeusza hr. Dzieduszyckiego, Stanisława Gniewosza, Dawida Abrahamowicza i Juliana Romańczuka. Ankieta ta, której przewodniczyć będzie członek Wydziału krajowego p. Teofil Bereżnicki, zbierze się w gmachu sejmowym w dniu 9. Lipca b. r. Sekretarzem ankiety będzie p. A. Wilczyński.

Wydział krajowy przesłał już wszystkim członkom ankiety wypracowany przez siebie kwestyonarz do ustawy łowieckiej, obejmujący 48 pytań. Kwestyonaryuszem tym poruszono następujące działy: Prawo polowania, przedmiot polowania, ochrona dziczyzny użytkowej, tępienie szkodliwej dziczyzny, szkody z niewłaściwie prowadzonego polowania i przez dziczyznę wyrządzone, karty myśliwskie i opłaty od psów, kary za przekroczenia ustawy i postępowanie przy dochodzeniu przekroczeń.

Sprawozdanie z Walnego Zgromadzenia Tow. myśliwskiego im. św. Huberta. W niedzielę dnia 22. Maja b. r. odbyło się doroczne Walne Zgromadzenie Towarzystwa myśliwskiego im. św. Huberta, z następującym porządkiem dziennym:

1. Sprawozdanie zarządu za r. 1886/7.
2. Sprawozdanie komisyi rewizyjnej.
3. Wybór biura.
4. Wnioski i interpelacye członków.
5. Wybór komisyi rewizyjnej.
6. Ukonstytuowanie Kół.

O godzinie 4tej zagaił Zgromadzenie przewodniczący Towarzystwa p. B. Komorowski krótką przemową, objaśniającą drukowane sprawozdanie, przyczem wyraził podziękowanie za szczególną życzliwość dla Towarzystwa Szan. Kuratoryi fundacyi hr. Skarbka, zarządowi lasów, w ogólności leśniczym, rewirowym, wreszcie Redakcyi „Łowca“, iż umożliwiła Wydziałowi Towarzystwa wydrukowanie bez znacznych kosztów Sprawozdania z czynności za rok 1886/7, w dodatku do „Łowca“. Walne Zgromadzenie oddaje przez powstanie cześć zmarłemu koledze Hallerowi. Do przewodniczenia obradom uprasza p. Władysława Borzysławskiego, który wezwał na sekretarza L. Dziubińskiego.

Nad wydrukowanem sprawozdaniem wywiązała się żywa dyskusya, po której przyjęto wszystkie wnioski Wydziału, przedłożone w sprawozdaniu, z wyjątkiem wniosku, by członek mieszkający w obszarach jakiegoś Koła, nie mógł się do niego zapisać.

Nastąpiło sprawozdanie komisyi rewizyjnej, przez usta referenta p. Bielańskiego, który skonstatował w dochodach za rok 1886/7 1.526 zł. 90 ct., w rozchodach 1.523 zł. 1 ct., nadwyżkę zatem w kwocie 3 zł. 89 ct. Sprawozdanie przyjęto do wiadomości i udzielono absolutoryum Wydziałowi.

Przy głosowaniu nad kandydatami do biura otrzymali na prezesa: p. Komorowski głosów 45, Bielański 23, Szuchiewicz 1; na wiceprezesa p. Stroński 35, Szuchiewicz 33; na sekretarza p. Jarosiewicz głosów 67; na podskarbiego p. Dzikowski 67. Ponieważ absolutna większość na 69 głosujących wynosiła głosów 35, przeto wybrano do biura: Komorowski Bronisław prezesem, Słoński Fortunat wiceprezesem, Jarosiewicz Karol sekretarzem i Dzikowski Alfred skarbnikiem.

Nastąpiły wnioski członków. Prof. Szuchiewicz podaje wniosek, a właściwie polecenie dla przyszłego zarządu, podpisane przez 5 członków: „Poleca się Wydziałowi, by się zastanowił i zdał na następnem Walnem Zgromadzeniu sprawę, czyli nie byłoby korzystnem podzielić cały obszar polowań, dzierżawionych przez Towarzystwo im. św. Huberta, na cztery działy i oddać przez losowanie corocznie każdy z tych działów czwartej części członków, a tem samem zrównać prawa i opłatę wszystkich członków. W razie korzystnego wyniku tego wniosku przedłoży Wydział Walnemu Zgromadzeniu budżet na rok następny, według którego Walne Zgromadzenie uchwali równą kwotę, uiścić się mającą przez wszystkich członków'.

Wniosek zarówno trudny do wykonania, jak niepraktyczny, stojący wręcz na przeciwnych krańcach z dotychczasowem zadaniem Towarzystwa, z jego aspiracyami i usiłowaniami, by umożliwić i mniej zamożnym ludziom pracy korzystanie z przyjemności polowania. W razie przyjęcia go, o czem bardzo wątpimy, będzie każdy członek każdego działu zmuszonym do płacenia równie wysokiej kwoty rocznej za prawo polowania — dzisiaj za droższe i tańsze udziały każdy może sobie wybrać rewir wedle środków swych materyalnych.

Po krótkiem przedstawieniu ze strony wnioskodawcy, uchwaliło Walne Zgromadzenie polecić zastanowienie się nad nim Wydziału.

Pan Haczewski stawia wniosek zmiany §§. 20, 26, 28 statutu, po przemówieniu jednak p. Komorowskiego wybrano na wniosek p. Jarosiewicza komisyę specyalną *ad hoc*, któraby zrewidowała statut, poczyniła odpowiednie zmiany i z gotowymi wnioskami przyszła przed Walne Zgromadzenie. Do komisyi tej weszli pp. Szuchiewicz, Stroński, Komorowski, Krogulski i Bielański.

Z kolei przystąpiono do wyboru rewirowych. Wybrani zostali: pp. Karol Rożanowski I. Koło, Maryan Hamerski II., Józef Iwanicki III., Adam Szczawiński IV., Władysław Daszyński V., Leon Dziubiński VI, D. Filewicz VII., Edmund Lardemer VIII., Franciszek Kinelski X., Włodzimirz Szuchiewicz XI., Paweł Freund XII. Koła IX., XIII., XIV. i XV. pozostawiono tymczasowo pieczy prezesa Towarzystwa.

Do komisyi rewizyjnej wybrało Walne Zgromadzenie pp. Bielańskiego, Kaszyńskiego i Thilscha, a zarazem przyjęło odczytany preliminarz dochodów i rozchodów na rok przyszły.

Po wyczerpaniu porządku dziennego zamknął przewodniczący obrady o godzinie 8mej wieczorem. *Leon Gustaw Dziubiński*,
sekretarz Wal. Zgromadzenia.

Wykaz ubitej zwierzyny w Galicyi w r. 1886, przedłożony przez c. k. Namiestnictwo lwowskie Ministeryum rolnictwa w Wiedniu.

Pożytecznej: jeleni 43, danieli 31, sarn 5.308, kozic 0, dzików 1.309, zajęcy 38.915, królików 27, bobaków 0, głuszców 71, cietrzewi 362, jarząbków 1.127, bażantów 551, kuropatw 11.245, przepiórek 21.609, słonek 6.325, kszyków 11.300, dzikich gęsi 465, dzikich kaczek 12 576.

Szkodliwej: niedźwiedzi 9, wilków 111, rysiów 32, lisów 6 408, kun 802, tchórzów 389, wydr 227, żbików 16, borsuków 361, orłów 314, puhaczów 297, jastrzębi, sokołów, krogulców 7.845, sów 1.454.

Jeleni ubito: Bohorodczany 1, Borszczów 1, Chrzanów 5, Dolina 1, Kałusz 6, Kraków 20, Lisko 1, Nadwórna 2, Nisko 4, Stryj 2; sarn nad 50: Bóbrka 98, Bochnia 98, Borszczów 119, Brzesko 69, Brzozów 59, Chrzanów 149, Cieszanów 64, Czortków 80, Dobromil 134, Dolina 170, Drohobycz 276, Gródek 70, Jarosław 110, Jaworów 129, Kałusz 84, Kamionka strum. 103, Kosów 77, Łańcut 87, Lisko 70, Lwów 60, Mościska 160, Myślenice 73, Nadwórna 92, Nisko 182, Pilzno 65, Podhajce 73, Przemyśl 118, Rohatyn 75, Rzeszów 60, Sambor 180, Sanok 80, Skałat 83, Sokal 64, Stryj 165, Tarnobrzeg 82, Tłumacz 76, Zaleszczyki 81, Złoczów 200. Żółkiew 58, Żydaczów 87, Żywiec 212; dzików nad 50: Dolina 80, Jasło 127, Rohatyn 65, Tłumacz 53; zajęcy nad 1.500: Borszczów 1.800, Rzeszów 2.000, Złoczów 3.000; głuszców: Dolina 6, Kałusz 5, Kosów 26, Nadwórua 24; cietrzewi: Bohorodczany 6, Brzesko 73, Chrzanów 49, Cieszanów 5, Dolina 8, Drohobycz 6, Kałusz 12, Kamionka strum. 28, Kosów 13, Limanowa 50, Nadwórna 37. Nisko 6, Podhajce 5, Rawa 5, Stryj 28, Żółkiew 15; jarząbków nad 10: Bohorodczany 13, Brzesko 140, Dobromil 28, Dolina 120, Drohobycz 45, Gorlice 40, Kałusz 28, Kołomyja 20, Kosów 90, Krosno 20, Limanowa 40, Lisko 90, Nadwórna 36, Przemyśl 38, Rzeszów 20, Sanok 80, Stryj 153, Złoczów 30; przepiórek nad 500: Borszczów 850, Cieszanów 800, Czortków 501, Jasło 1.130, Kołomyja 600, Lwów 1.800, Przemyśl 720, Śniatyn 690, Zaleszczyki 524, Złoczów 1.100; bażantów nad 20: Biała 32, Buczacz 20, Chrzanów 55, Husiatyn 30, Kraków 65, Łańcut 112, Wadowice 159; kuropatw nad 100: Biała 597, Bóbrka 111, Bochnia 107, Borszczów 168, Brody 142, Brzesko 140, Chrzanów 341, Czortków 150, Dąbrowa 211, Gorlice 250, Horodenka 200, Jarosław 220, Jasło 422, Jaworów 209, Kamionka strum. 598, Kołomyja 200, Kraków 145, Lisko 150, Lwów 180, Mościska 380, Myślenice 189, Nisko 113, Nowy Sącz 181, Pilzno 340, Przemyśl 550, Rawa 171, Ropczyce 226, Rzeszów 400, Sambor 209, Sanok 110, Skałat 200, Stryj 145, Tarnobrzeg 300, Tarnów 211, Tłumacz 163, Trembowla 144, Wadowice 365, Zaleszczyki 222, Złoczów 500, Żółkiew 310; słonek nad 100: Bóbrka 112, Borszczów 154, Czortków 130, Horodenka 350, Jasło 315, Kamionka strum. 208, Kolbuszowa 279, Lwów 190, Myślenice 120, Sambor 400, Skałat 170, Sokal 330, Stryj 128, Tłumacz 128, Złoczów 400; niedźwiedzi: Dolina 4, Kosów 2, Nadwórna 2, Stryj 1; wilków: Borszczów 2, Brody 1, Cieszanów 1, Czortków 3, Dolina 3, Drohobycz 1, Gorlice 1 Grybów 2, Husiatyn 3, Jarosław 3, Kałusz 2, Kamionka strum. 2, Kołomyja 3, Kosów 4, Krosno 2, Lisko 3, Nadwórna 1, Przemyślany 5. Rawa 26, Sanok 8, Skałat 5, Sokal 7, Stryj 13, Tłumacz 1, Złoczów 5, Żółkiew 1; rysiów: Biała 4, Bohorodczany 5, Dobromil 1, Dolina 4. Drohobycz 1, Kałusz 3, Kosów 2, Nadwórna 5, Nowy targ 1; lisów

nad 100: Bóbrka 142, Borszczów 218, Brzesko 198, Brzeżany 140, Brzozów 107, Czortków 129, Drohobycz 107, Jarosław 110, Jasło 255, Jaworów 123, Kamionka strum. 207, Nisko 254, Pilzno 140, Podhajce 108, Przemyśl 168, Rohatyn 183, Rzeszów 200, Sanok 120, Stryj 180, Złoczów 200, Żywiec 188.

Pan radca lasowy Gustaw Lettner, któremu zawdzięczamy wykazy corocznie nam dostarczane, przyłącza następującą uwagę: „Okazało się, że wykazywane corocznie przez c. k. Starostwa, szczególnie z południowo-zachodniej części Galicyi, ubite pardwy, były dropiami mniejszymi *(Otis tetrax, Tetrax campestris)*, dla których w przyszłym roku otworzę w wykazie osobną rubrykę“.

Szanowni Czytelnicy zechcą porównać niniejszy wykaz z wykazami lat poprzednich, w celu uzyskania statystycznej wiadomości o zwierzostanie krajowym w przybliżeniu, wiadomo bowiem, że urzędowe sprawozdania z różnorodnych powodów, mimo najlepszej woli, nie mogą dać dokładnej w tym względzie informacyi. Są one wszakże mimo tej ujemności nader cenną wskazówką. Zwracamy uwagę na widoczny ubytek w tym roku zajęcy.

Zapytanie w sprawie rui sarn. Dnia 8. Marca doniósł podpisanemu tutejszy dworski zaprzysięgły gajowy, że obchodząc granice rewiru Darszawskiego (powiat Stryj) dostrzegł na polu ornem, do lasu przyległem, żytem ozimem zasianem, sarnę i obok niej dwoje, ledwie kilka dni mających młodych, które się pasły na bujnem życie, śniegiem niepokrytem w czasie odwilży. Doniesieniu temu nie uwierzyłem na razie, lecz gdy mi nazajutrz to samo inny, naprzemian służbę pełniący gajowy powtórzył, a dnia trzeciego tutejszy dworski ekonom, który z ludźmi zajęty był przy odprowadzeniu wody z pola, oziminą zasianego, ponownie to samo doniósł, udałem się sam, w towarzystwie tutejszego elewa, w porze południowej na miejsce mi wskazane i przekonałem się o prawdzie, widziałem bowiem rzeczywiście matkę i dwoje młodych, ledwie 8 do 10 dni mieć mogących sarniąt. Dodaję, że gajowy tutejszego dworskiego rewiru Łotatniki, o 7 klm. ztąd odległego, zaraportował mi, że dnia 19. Marca b. r. w oddziale leśnym, gdzie właśnie osiczynę w drodze trzebieży wybierano, spotkał 6 sztuk sarn starszych i jedno młode, które ledwie kilka dni wieku liczyć mogło. Za nadejściem jego spłoszone sarny zaczęły wolno z wyrębowiska się wydalać, otaczając wszelką troskliwością to maleństwo, które co chwila w głębokim, świeżo spadłym śniegu upadając, wszelkiemi siłami za starszemi zdążało. Daleki jestem od tego, żebym chciał sobie przypisać pierwszeństwo w tem może niezwykłem spostrzeżeniu, bo już może niejeden leśnik-myśliwy u nas był w równie miłem położeniu (jakkolwiek dotąd o tem nie czytałem w pismach fachowych), lecz spostrzeżenie to podaję do publicznej wiadomości jedynie w celu przekonania wielu jeszcze fachowych i wytrawnych myśliwych, trzymających się zdania dawnego, że ruja u sarn odbywa się jedynie w miesiącu Grudniu, że zaś spostrzeżenia i doświadczenia nowsze, poczynione przez znakomitości naukowe, jak: Dra Pockelsa i Dra Zieglera, są jedynie prawdziwe i uzasadnione. Pozostając w zasadzie wiernym teoryi nowoczesnej, że ruja u sarn odbywa się przy końcu Lipca i w ciągu Sierpnia (twierdzenie Dra Zieglera, że tylko w tym czasie ma samica dojrzałe jaja, a samiec dojrzałe w „Sparmatozy“ obfite nasienie) i że samica w tym czasie zapłodniona, nosząc płód swój przez 40 tygodni, wydaje zazwyczaj na początku Maja 2 młodych na świat, nasuwa się w tym wypadku pytanie, w którym miesiącu właściwie mogła być zapłodnioną samica, którą już na początku Marca z dwojgiem młodych widziano? Wedle twierdzenia tedy Dra Zieglera musiałaby być ona zapłodnioną już przy końcu Maja lub na początku Czerwca. Wobec tego nasuwają się następujące pytania: *a)* czy okres 40tygodniowy ciężarności jest prawdziwy? *b)* czy może ruja u sarn nie przypada wcześniej, jak ją podaje Dr. Ziegler? *c)* czy nie mamy tu po prostu do czynienia z wyjątkowem zdarzeniem? Podając to moje spostrzeżenie, polecam go rozwadze Szan. czytelników i miło mi będzie w tym kierunku otrzymać wyraźne i jasne pouczenie, które tem bardziej byłoby mi pożądane, ile że przebywając w lesie stale przez lat 26, jest to pierwszy wypadek, który mi się zdarzył wbrew naukowym twierdzeniom O. v. Riesenthala „Przewodnika dla leśniczych“ i innych dzieł: „że zazwyczaj z początkiem Maja wydaje sarna dwoje młodych na świat“.

Darszawa 26. Kwietnia 1887. *Kaczorowski.*

(„Sylwan“).

Staresioło 16. Maja.

Dnia 10. b. m. będąc w lesie przy kulturze, spostrzegłem z oddalenia dosyć znacznego nadciągającego myszołowa *(Falco buteo)*, który jakiś przedmiot unosił w szponach swoich, a że miałem strzelbę przy sobie, gdy się ze mną zrównał, strzeliłem do niego na odległość przynajmniej 80 kroków. Myszołów dobrze ugodzony runął na ziemię. Jakież było moje zadziwienie, a zarazem i radość, mogą sobie Szanowni czytelnicy wyobrazić, gdy w szponach tego szkodnika zobaczyłem na pół zjedzonego młodego zajączka. Toż od tej chwili nie mam dla tego rodzaju niewiniątek żadnego pobłażania. Zresztą nie jest to nic nowego, a na poparcie mego powyższego podania opowiem jeszcze jeden dość ciekawy fakt o tem niewiniątku. W roku 1859, dobrze mi pamiętnym, szedłem łąką w dość późnej jesieni; wtem prawie z pod moich nóg pomyka zając, a równocześnie z największą szybkością, na jaką się tylko zdobyć może, pada myszołów na zająca i oba giną mi w krzakach, tarniną poprzerastanych. Idę w to miejsce, gdzie mi z oczu znikli i spostrzegam w drganiach konwulsyjnych na pół rozdartego myszołowa, jednym szponem za krzak uczepionego. Przypuszczam, że chytry rabuś, nie chcąc się pozbyć łupu swego, czepił się jednym szponem za krzak, a drugim trzymał zająca, w skutek czego w szybkości biegu rozerwanym został. *W. B.*

Mądzielówka w Maju.

Kiedy w r. 1881 ogłosiłem doświadczenia moje o peryodycznem zapaleniu oczu u koni, rzucił na mnie austryacki świat uczony anatema, badaniom moim przypisany był brak wiedzy, płytkość i innymi obdarzono mnie przymiotami, od których tylko prawowity german może być wolnym, a choćby jego praca była bez żadnej wartości, to jednak tak ostrej krytyce nie ulegnie. Zapomniano wszakże o jednej okoliczności, mianowicie, że ogłaszając moją pracę, nie szukałem poklasku i doraźnego uznania i że nieraz zdrowy chłopski rozum więcej prawd wykrył, jak napuszone mądrości z katedry. Dziś wolno mi twierdzić, że doczekałem się pozytywnego rezultatu następującego: Co przed rokiem 1881 było wszędzie i zawsze peryodycznem zapaleniem oka, zostało obecnie rozdzielone, wynaleziono nową chorobę oka i nazwano ją: „upływem oka“ *(Schleimfluss)*, umiejętnie: *„Blennorhöe“*. Cierpienie to jest zaraźliwe, niedziedziczne, uleczalne, peryodyczne, słowem ma ono wszystkie właściwości, jakie w mojej broszurze wskazałem, przyznano nawet, że przyczyną jego są bakterye. Czy kto o tem przed rokiem 1881 słyszał?

Obok tej nowej słabości można znaleźć w nowszych okulistykach weterynaryi, już po r. 1881 wydanych, jak n. p. *Lehrbuch der Veterinär-Heilkunde von Fr. Błażekowic 1882, 1883, 1884*, opisanie peryodycznego zapalenia oczu u koni, ale zupełnie różne od dawniejszych opisów, jak gdyby słabość ta od tego czasu cnotliwszą się stała; n. p. piszą o niej, że nie jest arcyrzadką (ale dopiero od r. 1881), że rozpoznać ją można tylko w pierwszym początku, bo później staje się podobną do innych słabości. Czyż to nie jest pozytywnym rezultatem, choć mądrość niemiecka negatywnie go przedstawiła?

Ale nie o to mi w tej chwili idzie, radbym czytelników poznajomić ze znakomitym sposobem leczenia tego cierpienia, jakie odkrył ten sam weterynarz Fr. Blażekowić. Dzieło jego 3tomowe nie dla wszystkich przystepne, nie rozpowszechni należycie tego środka, uważam przeto za obowiązek udzielić go hodowcom i posiadaczom koni tem bardziej, że od lat trzech przekonuję się coraz bardziej o wielkiej jego skuteczności tak, że nie pamiętam niepomyślnego skutku. Nie będę opisywał przypadłości tego cierpienia, nadto dobrze one są znane, odwołuję się do mego dziełka: „O peryodycznem zapaleniu oczu u koni“, nadmienię tylko, że zapalenie to przechodzi przez trzy charakterystyczne stadya. Pierwsze łagodne mało się różni od kataru ocznego, drugie zajmuje całą spojówkę oka, czyli skóry ślinowe, trzecie obejmuje już i rogówkę. W obu ostatnich wypadkach daje się widzieć regularny już zaciąg, ropę w przedniej komórce, czułość na światło, swędzenie, górną powiekę klinowato skurczoną i t. d. Sposób leczenia zawsze jeden i ten sam. Używa się w tym celu pięcioprocentowego rozczynu lapisu (kamienia piekielnego), którym się skóra oka pendzluje. Po zapendzlowaniu wstrzykuje się do oka rozczyn soli kuchennej (łyżeczkę od kawy do szklanki wody), następnie płucze się chore oko prądem wody studziennej strzykawką dosyć dużą. Przy silnem zapaleniu powtarza się to trzy razy przez kilka dni, jak długo zapalenie trwa zakłada się kratkę na oczy, by przeszkodzić tarciu oka, a po ustąpieniu cierpienia pendzluje się oko raz na tydzień sposobem wyżej wskazanym. *Józef Krzysztofowicz.*

Gazety warszawskie z b. r. donoszą: „W lasach dóbr Chlewiska w gub. Radomskiej, ubito gronostaja. Według obliczeń miejscowej służby leśnej w lasach Chlewiskich przebywają jeszcze około 20 sztuk tego rzadkiego zwierzątka".

W istocie zwierzątko to jest nader rzadkiem u nas, nie bez korzyści będzie przeto dla czytelnika, gdy w krótkości skreślę spostrzeżenia moje, jakie nad tem zwierzątkiem czyniłem, widząc je dwa razy w przeciągu lat dziesięciu w Kamienopolu koło Lwowa. Lasek był olszowy, grunt, na którym rosła olszyna, bagnisty, po nad grząskiem błotem, korzenie wysokich olch sterczały nakształt dość wysokich, mchem porosłych kopców. Drzewa rosły gęsto, owinięte łodygami dzikiego chmielu, który w niektórych miejscach w długich zwijając się splotach lub uczepiwszy się sąsiedniego pnia, laskowi temu fantastyczny nadawał pozor, jakby boru amerykańskiego, zasnutego lianami. Pochód w tym lasku z powodu moczarowatego gruntu i owych niby sieć rozsnutych łodyg chmielowych, był dosyć mozolny. Z pnia na pień skacząc, plątając się w chmielinach, wracałem z kaczego polowania. Naraz na jednym z kopców, stanowiących korzenie olchy, spostrzegam niewielkie, wysmukłe zwierzątko, z białym jak śnieg włosem. Skoro mnie spostrzegło, znikło jak błyskawica, kryjąc się w korzeniach olchy. Byłem pewny, że to łasica innego jak kasztanowate gatunku, zimą i latem zatrzymująca swój biały włos. Dawni przyrodnicy i lud do dziś niesłusznie twierdzą, że łasica kasztanowata pod zimę zmienia barwę swego letniego czerwonego ubrania i staje się, jak na podbrzuszu, białą jak śnieg. Białe łasice są u nas bardzo pospolite. Zwierzątko owe, które dostrzegłem, było znacznie większe od białych łasic, które znacznie są mniejsze, jak łasice kasztanowate. Co najważniejsze, spostrzegłem wyraźnie, że zwierzątko to miało dość długi ogonek, z ciemnym niby kutasik zakończeniem. Tego nie posiadają białe łasice, nawet ogonki ich bardzo są krótkie. Miałże by to być gronostaj, którego ojczyzną są strefy północne Europy, Azyi i Ameryki? Odwiodłszy kurki dubeltówki, wlepiwszy wzrok w wystające po nad poziom moczaru korzenie olchy, w które skryło się zwierzątko, czatowałem na nie. Minęła niemal godzina, nie wyszło z nory. Naraz zadrgały zwoje zeschłych, bo przeszłorocznych łodyg chmielowych, spojrzałem w górę, a oto podobne białe zwierzątko, niby majtek okrętowy lub linoskoczek, zsuwa się powoli po łodydze chmielowej. Strzeliłem, padło martwe na ziemię, wypuściwszy z pyszczka swego martwego czyżyka. Był to gronostaj, prawdopodobnie niósł żer niósł żer do gniazda. Był to samiec spory, cały śnieżnej białości, przez grzbiet aż do ogona ciągnęła się smuga odmiennej nieco barwy, blado paljowa, jak to bywają białe kaczki domowe, gdy przez długi czas przebywają na wodzie. Że to był gronostaj, stwierdził ogon dość długi z ciemno-kasztanowatem zakończeniem. Nigdy przedtem nie widziałem gronostaja, więc zawiozłem go do Lwowa, gdzie kuśnierz Armatys potwierdził mój domysł, płacąc mi za zkórkę 3 złr. m. k. Ubity przezemnie exemplarz nie był owym, który poprzednio znikł w norze, więc często jeszcze zasiadałem na niego, ale daremnie, zwierzątko już się nie pojawiło. W dwa lata ekonom nasz, zapalony i dobry myśliwy, szczególnie na błotach, polująe na norki, których skórkami handlował, ubił w jesieni trzy gronostaje w tej samej olszynie, do której przylegał duży, dziś już nieistniejący staw, Z tego wnioskuję, że w krajach, które są właściwą ich ojczyzną, ulubionem ich miejscem pobytu, służącem oraz na pieleszę, muszą być lasy, na moczarach rosnące.

Dziwniejsze miałem zdarzenie w lat dziesięć, również w Kamienopolu. Z końcem Listopada lekki śnieg pokrył już ziemię; stałem właśnie przy młockach. W pośrodku obszernego gumna stała dość duża kopica trzciny, w lecie ściętej, mająca służyć jako poszycie budynku. Z wnętrza tej kupy co chwila w poskokach, nie dających się określić, wybiegała łasica kasztanowata, niebawem powracając z ułowioną myszą. Łasic było kilka, między niemi uwijała się też jedna biała. Po bliższem rozpatrzeniu się dostrzegłem u niej ogonek, z owym charakteryzującym gronostaja ciemnym kutasikiem u końca. Posłałem po strzelbę i zabiłem go. W dawnej Polsce skórom niektórych zwierząt przypisywano różne właściwości i mawiano: „Gronostaj króla zdobi, sobol cześć sposobi, lis grzeje, kuna chłodzi, a baran wszy płodzi".

A. Ubysz.

P r z e c i w w ś c i e k l i ź n i e poleca na nowo Dr. Karczewski w Nr. 7 „Russkija medicyna" z r. 1886 — już dawniej w tym samym celu stosowany środek, t. j. proszek z kantaryd (0·05 ctgrm. pro die). W numerze 42 tegoż czasopisma Dr. Lukowski opisuje 7 wypadków wyleczenia wścieklizny za pomocą kantaryd. Miejmy nadzieję, że na tej czysto terapeutycznej drodze prędzej nam się uda wyleczyć wściekliznę, aniżeli za pomocą t. z. ochronnego szczepienia, stosowanego przez Pasteura, który więcej szkody przynosi nauce i ludzkości, niż realnego pożytku. *(„Przegląd weterynarski").*

Z R o s y i. W kwietniu urządzono wielkie polowanie na niedźwiedzie pod kierunkiem książąt B. A. Wasilczykowa i W. Koczubeja, jakoteż hr. S. A. Uwarowa w gubernii Ołowieckiej, dokąd ci panowie umyślnie z Petersburga przybyli. Łowy trwały dni pięć i przyniosły bogatą zdobycz, ubito bowiem 12 starych niedźwiedzi, a młodych złowiono żywcem. *(„Weidmannsheil").*

Pewna kucharka biskupia, a one, jak wiadomo, są mistrzyniami w swej sztuce, zaleca następujący sposób przyrządzania głuszca: Przygotowawszy tego ptaka do upieczenia, zawija się go w płótno, napojone mocno koniakiem, następnie kładzie w odpowiednie naczynie, w którem utrzymuje się go w stanie wilgotnym, przez dolewanie od czasu do czasu łyżkami wódki. Tak niech leży 3 lub 4 dni, poczem szpikuje się go i piecze, najlepiej na rożniu, albo też w rynce, otoczonej z dołu i góry ogniem. Prócz soli używa się tylko jednej lub dwu łyżek koniaku, któremi polewa się zwierzynę. Pieczenie powinno trwać jak najkróciej. *T.*

Stan łosiów w Szwecyi jest kolosalny. Według statystycznych podań ubito w roku ubiegłym 1.197 sztuk, do której liczby doliczyć należy 200 do 300 sztuk, ubitych przez kłusowników, których statystyczny wykaz nie objął.

Z R o s y i. O zachowaniu się łosiów na wiosnę w Rosyi wspominałem już dawniej. W tym roku powtarzają się też tego rodzaju zjawiska. Dużego łosia złowiono żywcem dnia 8. Maja w pobliżu Petersburga. O tem zdarzeniu zdaje leśnictwo następujący raport: Dwaj uczniowie spostrzegli o godzinie 12tej w południe łosia, który w pełnej ucieczce przesadzał parkany i płoty i znikł w kierunku miasta. We dwie godziny potem widziano to olbrzymie zwierzę rzucające się w Newę i płynące ku przeciwnemu brzegowi. Natychmiast wioślarze wskoczyli do czółen i rozpoczęło się polowanie. Dostrzegłszy to, łoś zmienił kierunek i popłynął z prądem wody. W środku jednak rzeki otoczyły go czółna, zarzucono nań siłkę i przyciągnięto go na lewy brzeg. Tu związano go, włożono na wóz i odstawiono do urzędu gminnego.

Leschmann.

☞ Upraszamy wszystkie krajowe Towarzystwa myśliwskie o wczesne podanie zmian, dotyczących ich organizacyi i zakresu działania, dla kalendarza myśliwskiego na rok 1888.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Związkowa Drukarnia we Lwowie.